CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 33

WARSZAWA, DNIA 13-go SIERPNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

J. CLEMENCEAU

Ożył. Nie dał się medykom, którzy zwątpili w jego długowieczność. Nie zgodził się na kurację znachorów w rodzaju Woronowa; wolał „pozostać starym człowiekiem, aniżeli młodą małpą".

Ożył. Żyje. Ma lat 86. Po groźnej chorobie, która zdawało się, że go zmoże, wrócił do zdrowia. Bierze udział w zjazdach, odbywa dalekie podróże. Jest czynny i energiczny. Ani myśli umierać. Jest niespożyty.

O działalności politycznej i dziennikarskiej Clemenceau istnieje cała literatura. Nie wyczerpuje ona naturalnie wszystkich stron jego bogatego życia. Najciekawszem źródłem do jego biografji byłyby naturalnie jego pamiętniki. Ale na tym punkcie Clemenceau okazał się nieugięty. Pomimo natarczywych nalegań przyjaciół i wydawców, „memuarów" pisać nie chce. Utrzymuje, że strofować dowódców mógł tylko w czasie wojny, dziś krytykować ich uważałby za okrucieństwo. Zresztą „życie jest na to, aby je przeżyć, a nie żeby je opowiadać".

Zna go świat cały, jako „starego tygrysa", ale nie wszyscy wiedzą, że ten epitet odnosi się i do przedwojennej jego przeszłości, kiedy, jako dziennikarz, w wydawanych przez siebie pismach: „Homme libre" i „Homme enchaîné" zwalczał namiętnie gabinety i parlamenty, gryzł i szarpał tych, których uważał za szkodników. Jego palące artykuły ukazywały się codziennie. Zamilkł dopiero wtedy, gdy w r. 1917 stanął na czele rządu francuskiego, powołany na to stanowisko przez zaciętego swego przeciwnika, prezydenta Poincaré.

Opisywać, jaką niesłychaną rozwinął energję w czasie wojny i Konferencji Pokojowej, jakie wówczas położył dla Francji zasługi, przekroczyłoby rozmiary tego artykułu. Przypomnę tylko, że wyrzekł wtedy w Izbie deputowanych dumne słowa: „*Je fais la guerre*" i „prowadził wojnę", zapatrzony w ten jeden cel, oddając mu wszystkie zdolności i siły. Clemenceau, Foch i Poincaré wygrali we trzech wojnę. Stwierdzenie tego faktu starczy za wszelkie apologje.

Kiedy w roku 1920, po 7 latach prezydentury, ustąpił Poincaré, Clemenceau myślał, że po tem, czego dokonał, podwoje pałacu Elizejskiego powinny się przed nim otworzyć. Atoli jego pragnienie nie zostało spełnione. Mężowie polityczni francuscy, którzy wówczas na opinję Izby deputowanych i Senatu mieli wpływ największy, obawiali się jego tygrysich pazurów na stanowisku, na którem potrzeba było najwyższego spokoju i równowagi. Przepadł więc przy wyborach. Odczuł to boleśnie, ale nie rzucił się w wir walki opozycyjnej, tylko poprostu cofnął się od czynnego życia politycznego, poświęcając się odtąd jedynie życiu rodzinnemu i pracy literacko - filozoficznej.



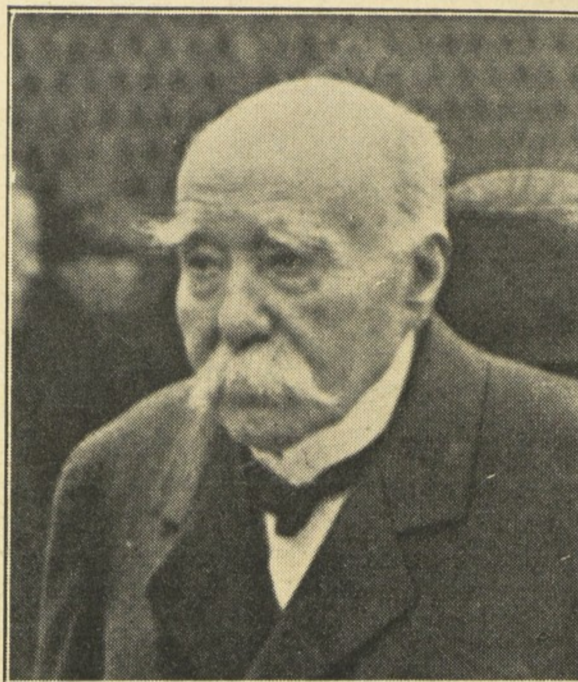
Dwa razy tylko opuścił Clemenceau swoje Tusculum i wystąpił na widownię publiczną. Pierwszy raz w 1923 r. Przeprawił się wówczas przez Ocean Atlantycki i objechał w ciągu kilku tygodni olbrzymie przestrzenie Stanów Zjednoczonych, wygłaszając wszędzie płomienne mowy za Francją.

Drugi raz, przed paru laty, kiedy rząd Waszyngtoński pod naciskiem wszechmocnego, nienawidzącego Francji i Polski, senatora Borak i doradców niemieckich, reprezentujący w Stanach Zjednoczonych 20-miljonową ludność, zaczął z niesłychaną bezwzględnością ścigać Francję o zapłacenie długów wojennych, Clemenceau ogłosił w pismach, pod adresem prezydenta Coolidge'a, piorunujący protest przeciwko postępowaniu Ameryki. Protest, który wyszedł z przepełnionego boleścią serca, był napisany świetnie, ale w wyrazach tak ostrych i gwałtownych, że odpowiedzialna opinja francuska nie mogła się z nim zsolidaryzować. Ale zrobił swoje: wywołał wrażenie wstrząsające.

Dla charakterystyki Clemenceau warto przytoczyć epizod, który opisał niedawno minister angielski Winston Churchill. Był to marzec 1918 roku, chwila dla Francji (i Anglji) tragiczna. Niemcy przełamali front angielsko - francuski i parli naprzód całą masą swej potęgi. Churchill wysłany został z Londynu, aby rozmówić się z Clemenceau. Po przybyciu do Paryża, który bombardowały dalekonośne działa niemieckie i aeroplany, szef sztabu angielskiego, generał Sackville, uprzedził Clemenceau, że Churchill pragnie zwiedzić front francuski. Na to w odpowiedzi otrzymał depeszę:

„Mr. Winston Churchill nietylko powinien wszystko widzieć, lecz jutro sam go zawiozę na pozycję, gdzie się biją i zapoznam z dowódcami korpusów, stojących w ogniu".

Na drugi dzień rano pięć samochodów z Clemenceau, Churchill'em i całą świtą oficerów sztabowych wyruszyło do Beauvais, głównej kwatery Foch'a, świeżo mianowanego generalissimusem wojsk sojuszniczych. Foch na mapie objaśniał sytuację. „Niemcy — mówił — sforsowawszy i przebiwszy front 21-go marca, szli przez trzy dni naprzód, 4-go dnia przestali się posuwać, 5-go zatrzymano ich". I dodał szeptem: — „*C'est la dernière journée de l'invasion*"......



J. Clemenceau

Kiedy następnie generałowie angielscy poruszyli sprawę posiłków, wobec zupełnego wyczerpania wojsk angielskich, Clemenceau obiecał ściągnąć natychmiast dwie dywizje francuskie, ale „wzamian" za to zażądał, aby go przewieziono na drugą stronę rzeki. Nie chciano się zgodzić. Ale Clemenceau nie ustąpił.

„Clemenceau — opowiada Churchill — nie chciał słuchać o żadnem niebezpieczeństwie. Pojechaliśmy. Wjechaliśmy w obręb pocisków armatnich, które przelatywały nad naszemi głowami. Clemenceau wdrapał się na wzgórze, tuż przy szosie. Oficerowie francuscy, zatrwożeni o życie premjera, naglili, aby zawracać...."

„Żelazny organizm starego tygrysa — kończy Churchill — zdawał się być niewrażliwym na wszelkie zmęczenie. Po 17 godzinach, spędzonych w ogniu walki i w wielkiem napięciu nerwowem, wrócił Clemenceau o 1-ej w nocy do Paryża w takim stanie, jakby je przesiedział na wygodnym, ministerjalnym fotelu".

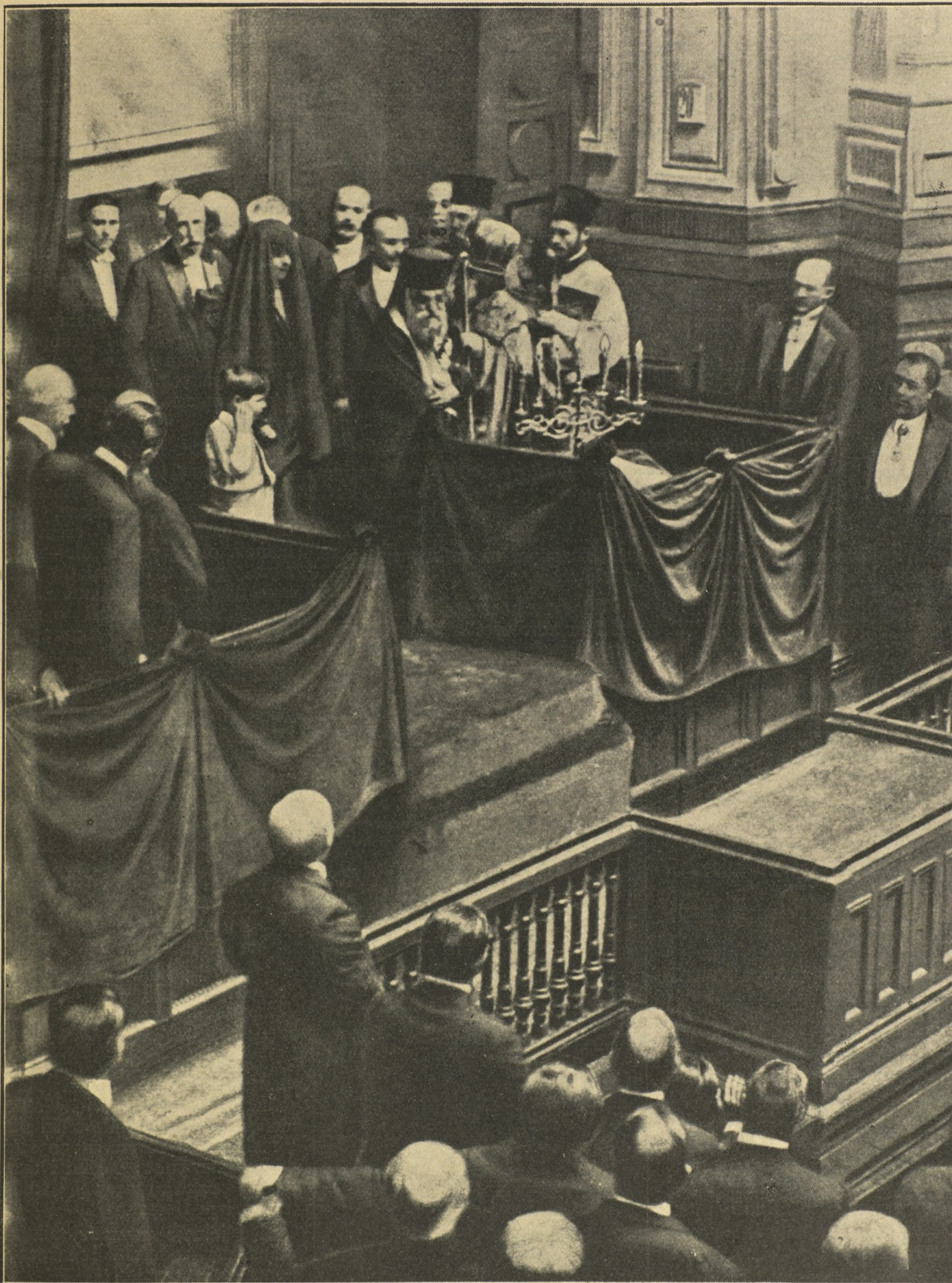
Pisząc o Clemenceau, nie mogę pominąć pewnego szczegółu, który może się przyczynić do charakterystyki tego niepospolitego człowieka. W początkach 1919 roku przybył do Paryża Ignacy Paderewski w glorji swoich politycznych powodzeń. Został świeżo mianowany prezesem ministrów i ministrem spraw zagranicznych Polski. Przyjechał do Paryża, aby przedstawić się prezydentowi Rzeczypospolitej francuskiej, naczelnikowi rządu i ministrowi spraw zagranicznych, a następnie wziąć udział w Konferencji Pokojowej.

Piszącemu te słowa, jako delegatowi rządu polskiego, przypadła zaszczytna misja towarzyszenia p. Paderewskiemu w jego oficjalnych wizytach. Kiedyśmy od prezydenta Poincaré przyjechali na Quai d'Orsay, przyjął nas minister spr. zagr. Stéphen Pichon, niezłomny przyjaciel Polski. Po półgodzinnej rozmowie Paderewski zapytał, kiedy może być przyjęty przez szefa rządu. Pichon zwrócił się przy nas telefonicznie do Clemenceau i otrzymał taką odpowiedź: „Ja sam zaraz do was przyjadę". W dziesięć minut potem z ministerstwa wojny, gdzie rezydował jako minister wojny, Clemenceau przyjechał na Quai d'Orsay. Po powitaniach, odrazu potoczyła się rozmowa naturalna, serdeczna, a jednocześnie ogromnie ważna i paląco interesująca. Clemenceau i Pichon wypytywali o pierwsze momenty życia odrodzonego państwa polskiego. Relacyj Paderewskiego, w jakich warunkach Polska budzi się do życia, słuchano z najżywszem zajęciem. Clemenceau opowiadał, że już we wczesnej młodości nauczył się kochać Polskę. Mówił z goryczą o fatalnym obrocie, jaki przybrały w Radzie Najwyższej sprawy Śląska Górnego i Gdańska, skutkiem stanowczego sprzeciwu, który założył w imieniu Anglji Lloyd George. Wyłoniła się dyskusja, jak osłabić konsekwencje tego sprzeciwu, przyczem Clemenceau obiecał swoje jak najżyczliwsze poparcie. I dlatego przyrzeczenia, w zakresie ówczesnych możliwości, dotrzymał.

Miałem sposobność widzieć Jerzego Clemenceau kilka razy w życiu, kiedy stał u szczytu potęgi i chwały. Ale nigdy nie wywarł na mnie tak głębokiego i silnego wrażenia, jak w tej, prawie historycznej, godzinie rozmowy, którą opisałem.

Er. P.

INTRONIZACJA KRÓLA MICHAŁA RUMUŃSKIEGO



Sześcioletni król Michał rumuński asystuje przy przysiędze trzech regentów w gmachu Parlamentu. Równocześnie odbyła się intronizacja Jego wobec Parlamentu i wojska. Fot. Illustration

Listy z Brazylji



Młody utalentowany beletrysta, p. Stanisław Ostrowski, autor „Chorągwi na dachu", dzieli się z czytelnikami naszego pisma wrażeniami z Brazylji:

Brazylja przyszła do mnie sama wtedy, kiedy najmniej się jej spodziewałem, a kiedy najwięcej była mi potrzebna: kiedy w Europie zaczynało mi się robić za ciasno.

Wierzę, że była to nagroda losu za uparte oczekiwanie. Kto wie, może yogowie mają trochę racji?

Okazja, która — według zgodnego świadectwa filozofów — jest „z tyłu łysa", zapala tylko przygotowany nabój.

Tak czy owak — szybka likwidacja warsztatu pracy i mieszkania.

W ogołoconych pokojach pachnie już — przygodą: paki ze sklepu kolonjalnego (kolonjalnego!) bezczelnie rozwalają się na froterowanej posadzce, jak żołnierze w ciężkich butach, biwakujący w salonie zdobytym. Wszelkie rzeczy solidne i osiadłe tracą swą pewność siebie, a z zakątków szuflad ukazują się, wstydliwie ukryte dotąd, przedmioty marzeń sztubackich, utensylja dni wojny i wycieczek samotnych: jakieś kompasy, manierki, teczki oficerskie, lornetki i noże składane.

Odzyskują swój sens („Może się przydadzą?").

Mieszkanie obczeje: człowiek wchłania z powrotem w siebie — barwę, którą nasycał wszystkie sprzęty. Tembardziej staje się teraz zwięzły i obrotny, zamiast być rozwłóczonym na setki mebli i bibelotów.

Wieczny koczownik, tkwiący w każdym zdrowym mężczyźnie, zaciera skrycie ręce, a głośno się tłomaczy tysiącem praktycznych i rozsądnych racji. Tak samo postępuje London ze swymi bohaterami: nie wierzę, żeby im chodziło o wartość złota, które wypłukują w „Złotonośnym wąwozie".



Jerzy Ostrowski i chargé d'affaires Poselstwa p. Gruslin w ogrodzie Poselstwa

Jeszcze szereg dni, stojących „na gorącym kamieniu" i już pożegnanie. Pożegnanie z tą tylko malutką myślą, skrobiącą po mysiemu w piersiach, że zostawiam za sobą serca wysokiej próby i że „tam" może takich nie znajdę.

Przykre to, że taka podróż zaczyna się od odrapanego dworca warszawskiego i że pociąg paryski pełen jest żydów, udających francuzów, niemców i anglików. Ostatni są zresztą najwspanialsi, choć muszą po kwadransie układać kunsztownie usta, aby bryznąć wreszcie bełkotem dumnego Albionu.

Pociąg gna przez Europę, słaniając się na zakrętach, jak koń wyścigowy. Przebiegamy ciężki, ponury dym fabryk Kruppa, odrzucamy poza siebie grudki nowopobudowanych, czerwonych domków niemieckich i gnamy ku Paryżowi.

Przywitał mnie mgłą, mówiącą, że to jednak jeszcze Europa, jeszcze zima i jeszcze — Miasto. Miasto może najpiękniejsze, będące dla Warszawy tem, czem mondaine'a dla gryzetki, ale—miasto... Dym, niezdrowe światło reklam, konwulsyjny natłok aut i... brud. Pomyślałem mimowoli o naszych koszach na śmiecie i z przyjemnością przeczytałem następującą wzmiankę w "Le Grand Tourisme";

„Une ville propre

On raconte, c'est un peu loin pour aller y voir, que Varsovie est actuellement une des villes plus propres d'Europe.

Pour arriver à ce résultat, la municipalité a employé le moyen suivant: Elle fait payer sur place, sans délai, 4 fr. à toute personne qui crache par terre ou jette sur le sol des détritus.

Voilà une amende qui rapporterait gros si elle était appliqué partout en France."

Czyżby „Paryż Północy" zdystansował tu swój ideał z Południa? W Marsylji już inaczej: słońce bieli olbrzymie bloki skalne i niebieszczy morze, a na ulicach widać murzynów, osiołki i dwukołowe wózki, szacowną tradycję „Imperium Romanum".

Na jakiejś skromnej uliczce z dziecinną radością zobaczyłem konsulat.... sjamski!

Wreszcie w porcie — okręty, białe yachty i zabawne łupinki, które jednak także skaczą jakoś tam po swojemu.

Nie trzeba tylko patrzeć na Marsylię z wysokości Bazyliki „Notre Dame de la Garde": wygląda wtedy, jak żałosna kupka zabawek ze źle wypalonej glinki pompejańskiej i mimowoli myśli się, że po tem wszystkiem, po tej całej cywilizacji naszej, nie zostanie nawet tyle, co po starym Rzymie. Ani term, ani akweduktów, ani dróg białych... Ot, kupka żelaziwa i gruzu.

Ale tymczasem — słońce tak różowo złoci skały, że można nawet przebaczyć tutejszym widokówkom ich bezczelne kolory. (Ile jednak mógłby nauczyć Bułhak t. zw. zagranicę! I przy tych kapitalnych światłocieniach!).

Wreszcie port i wreszcie — „Alsina"!

„Alsina" jest śmigła, robi swą podróż w ciągu dwuch tygodni i.... nazywa się ładnie. Tak mogłaby się nazywać dziwaczna, egzotyczna kobieta.

Towarzystwo nieciekawe. Kupczyki francuskie, kupczyki hiszpańskie i kupczyki brazylijskie. Wszystko z żonami i niesfornemi dziećmi; wszystko albo psyka na siebie dziwacznie, albo ryczy ze śmiechu, w sposób nigdzie niepraktykowany.

Pozatem sporo takich samych identycznie typów, jakie opisywali inni podróżujący. Podejrzewam, że istnieje tajemny zawód — „pasażerów", którzy nic nie robią, tylko jeżdżą bez żadnego celu okrętami, kolejami i tramwajami; poznać ich można po tem, że wszyscy są do siebie zupełnie podobni.

Na szczęście, spotykam Państwa Lalewicz, którzy wracają, po muzycznych tryumfach profesora w Europie, do swego Buenos Aires, gdzie są już od pięciu lat. Tworzymy więc „coin polonais" i spędzamy czas na bardzo miłej i ciekawej rozmowie.

Oczywiście mamy uroczystość chrzcin na równiku (opisywaną tyle razy, że nie ośmielam się zabierać głosu w tej materji) i bal maskowy, i loterję, i wszelakie konkursy. Oczywiście instynkt wymowy, którym obdarzona jest tak sowicie rasa latyńska, święcił ogromne tryumfy przy tych uroczystościach, a zwłaszcza przy loterji. Tu dopiero się rozumiało, dlaczego francuz jest tak dobrym kupcem.

Nie dał się jednak całkowicie ubłagać Neptun i przygotował nam 36-o godzinną awanturkę, podczas której „Alsina" skakała po falach, niczem mój biały kajak na jeziorze skępskiem kilka tygodni temu.

Ale to, co naprawdę nazwać można „urokami" egzotyki — przyszło dopiero z rybami latającemi i fosforyzacją morza.

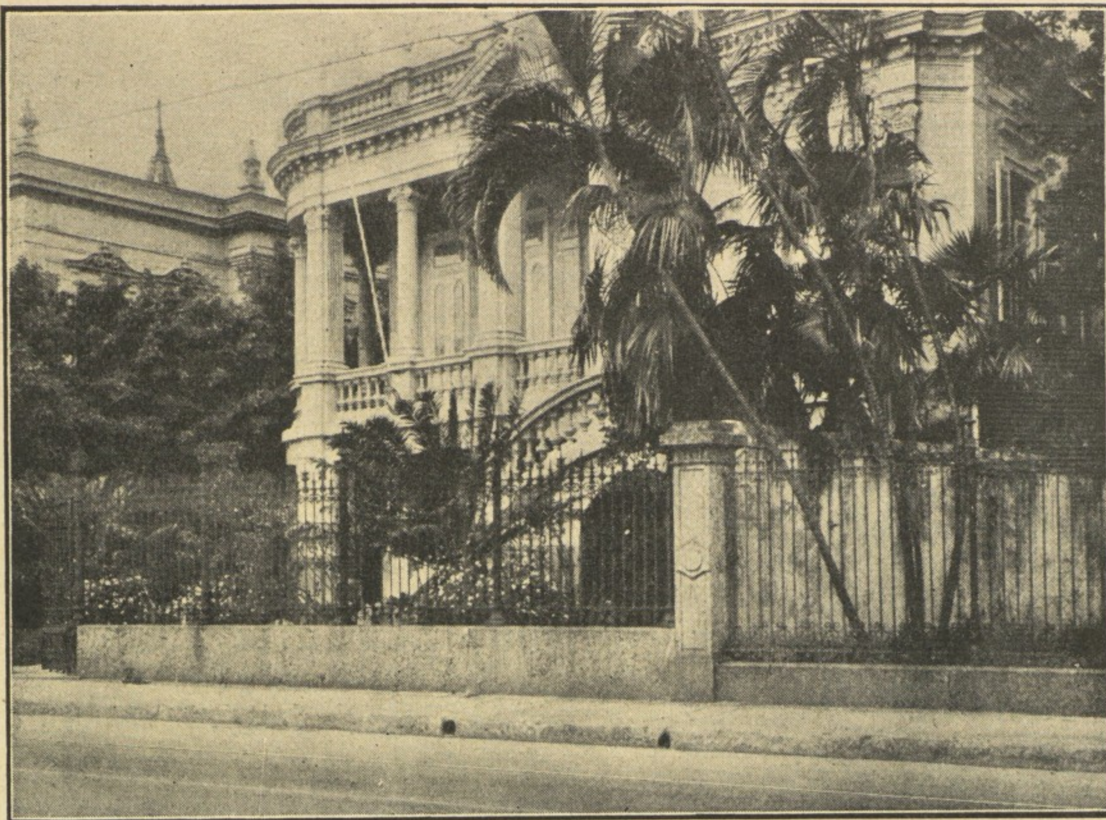
I gdyby tylko po to trzeba było jechać — to i tak byłoby warto.

I szkoda, że tęsknota egzotyczna jest u nas tak rzadka, że tak mało polaków ogląda niesamowite zielone oczy Morza, świętojańskim blaskiem urzekającego myśli zagubionych na wielkich wodach.

I że nie widzą małych rybek latających, które są pewnie syrenkami, stęsknionemi do słońca i fruwającemi na skrzydełkach, pożyczonych od utopionych jaskółek. Ani ciężkich delfinów, które wyglądają, jak niedorosłe torpedy, takie małe szczenięta „torpedzie".

Wreszcie zaczynają się snuć wzdłuż naszej drogi niebieskie góry i otwiera się olbrzymia zatoka, na szeroką miarę zakrojona.

A więc jesteśmy w jakiejś całkiem nowej części świata, która sobie istniała do tej pory, mimo, że my nie widzieliśmy jej wcale i — doprawdy — nie dowierzaliśmy wszelkim geografjom, że takie „inne części" świata wogóle są?



Poselstwo polskie w Rio de Janeiro



I oto —

Rio de Janeiro.

Stoimy długo, zanim zjawią się urzędnicy portowi — chore smutne małpki: mulaci.

W mieście upał dosłownie „stoi" w powietrzu.

Wszystko, co w Rio jest z morza—jest cudne; wszystko, co się od niego oddala i jest miastem — brzydkie, naśladujące —niezawsze z powodzeniem — Europę.

Na Botafogo, wielkiej avenidzie nadmorskiej, stłoczenie pałacyków, dowodzących zamożności i... braku gustu.

Ale jest Morze, które wszystko tłomaczy i upiększa, ale są wspaniałe igły skalne i tysiące małych domków, rozrzuconych na okolicznych górach. A wreszcie jest orgja elektryczności, która w nocy przemienia Rio w niesamowity obraz Dulaca czy Grahama.

Zabawnie widzieć Poselstwo Polskie w otoczeniu palm i orła białego na oblanym słońcem pałacyku. Nareszcie wytknęliśmy nos poza nasze płaszczyzny i zaczynamy wierzyć, że jesteśmy Państwem.

Obiad w Poselstwie, w miłem towarzystwie p. St. Głuskiego, naszego chargé d'affaires, dzielnie zastępującego nieobecnego jeszcze posła (P. Grabowskiego) i już wyjazd dalej, do owego „interioru".

Jerzy Ostrowski

Curityba w czerwcu 1927 r.

Podróżnictwo polskie

„Egipt“ Fr. Goetla. „W kościołach Meksyku“ M. Wańkowicza. „Nad srebrną rzeką“ W. Melcer-Rutkowskiej. „Cień ponurego Wschodu“ A. F. Ossendowskiego.

Przed wojną bardzo rzadko ukazywała się książka polska o narracji podróżniczej. Możnaby powiedzieć, że był to zupełnie egzotyczny rodzaj naszego piśmiennictwa. I nietylko przez dobór tematów, ale i przez rzadkość literackiej realizacji. Wojna zrobiła inowację. Źle wpłynęła na literaturę wogóle, ale za to przysporzyła nam książek podróżniczych w takiej ilości, że możemy bez zastrzeżeń ten dział piśmiennictwa nazwać kwitnącym.

Poczytność polskich książek podróżniczych przekroczyła granice naszej ojczyzny. Ossendowskiego publikacje są obecnie popularne na całym świecie. Należy przypuszczać, że i teraz wydana książka Ferdynanda Goetla p. t. „Egipt“ może być z powodzeniem przetłomaczona na jakiś język o międzynarodowym walorze. Żywość narracji, łatwość pióra, obrazowość słowa zalecają tę nową podróżniczą opowieść autora „Kar-Chat'u“. Ferdynand Goetel „tę próbę swojej literackiej geografji“ oddaje pod sąd łaskawego dla siebie czytelnika z przeświadczeniem, że.... niezadługo ukażą się nowe wydania tej książki. Jest ona zajmująca. Wystarczy przeczytać rozdział „Wisky and Soda pod piramidami“, by książkę tę zaliczyć do stałego towarzystwa. Informacje p. Goetla oszałamiają laika! Proszę sobie wyobrazić takie wiadomości, przywiezione z Egiptu, przez autora „Z dnia na dzień“:

— Piramida Cheopsa, a właściwie jej południk przebiega największą ilość kontynentów i zarazem dzieli kontynent na dwie równe części. Budowniczowie tej piramidy, jak wynika z analiz jej powierzchni, ustosunkowania brył, wiedzieli o kulistej formie ziemi, i to spłaszczonej w nieokreśloną bryłę geoidu. Znali też ludolfinę PI; promień polarny ziemi wynoszący cyfrę 0,635,660 pomnożoną przez 10 miljonów, nie był tajemnicą dla kapłanów egipskich.

Morderczą naukową sensacją jest wiadomość, iż mędrcy faraonów potrafili obliczyć ciężar ziemi. P. Goetel podaje go: 5,52. Mądrość kalendarzowa jest już fraszką wobec tych rewelacji.

Nie są to jednak jedynie palpitujące sensacje z podróży p. Goetla do Egiptu. Miłośnicy dreszczów egzotycznych innego rodzaju odnajdą opis zakazanej dzielnicy Kairu, gdzie... żołnierzom angielskim wstępować nie wolno. Jest to słynny „fishmarket“. Ruiny w Luksorze, Karnaku, zatopiona wyspa File należą do rzędu turystycznych przynęt: „fishmarket“ ma też swoich zwolenników. Obyczajowo jest ciekawy. P. Fr. Goetel, książkę swoją zilustrował bardzo dobremi fotografjami. Podnosi to wartość jego publikacji.

Inny typ obserwacji podróżniczych daje Melchior Wańkowicz w pożytecznej i barwnie napisanej książce p. t. „W kościołach Meksyku“. Jego spojrzenia mają uważny, społeczny charakter. Znać na jego podejściu do zjawisk, rzeczy i ludzi, iż autor jest człowiekiem o dużej wrażliwości prawno-społecznej. Interesuje się żywo egzotyką Meksyku, ale instynkt obywatelski każe mu przedewszystkiem ostrzedz niebacznych rodaków przed podróżą na Kubę. Wglądając w stosunki polityczne meksykańskie, potrafi znaleźć objektywny punkt do obserwacji. Z tych względów książka M. Wańkowicza zasługuje na szeroką poczytność. Materjał historyczny został w niej uwzględniony i barwnie podany.

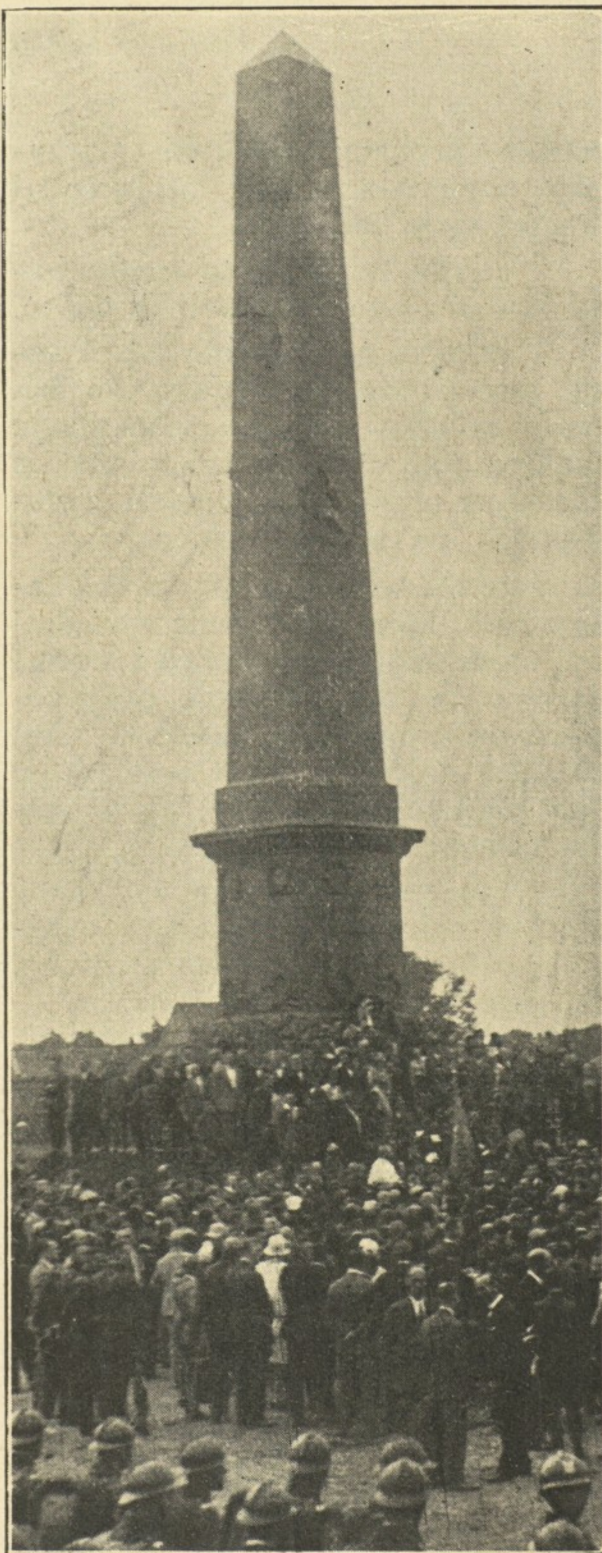
P. W. Melcer-Rutkowska dzieli się wrażeniami z podróży do Argentyny w książce p. t. „Nad srebrną rzeką“. Jest to naręcz lekkich feljetonów. Drukowane były one w różnych czasopismach. Na łamach naszego pisma zamieszczoną była spora część tej książki. Zalety pióra p. Wandy Melcer-Rutkowskiej są więc znane naszym czytelnikom.

W drugiem wydaniu ukazała się znana książka F. A. Ossendowskiego p. t. „Cień ponurego Wschodu“. Została ona przełożona na liczne języki europejskie i jest uważana za klucz do zrozumienia psychologji i moralności rosyjskiego wschodu. Jak twierdzi autor, „krytyka europejska przyjęła tę książkę nader życzliwie, aczkolwiek poglądy na genezę i charakter rosyjskiej duszy zbiorowej stały się przedmiotem ożywionej polemiki. Ukazanie się tej pracy w drugiem polskiem wydaniu świadczy o zainteresowaniu, jakie wywołała wśród naszej czytającej publiczności....

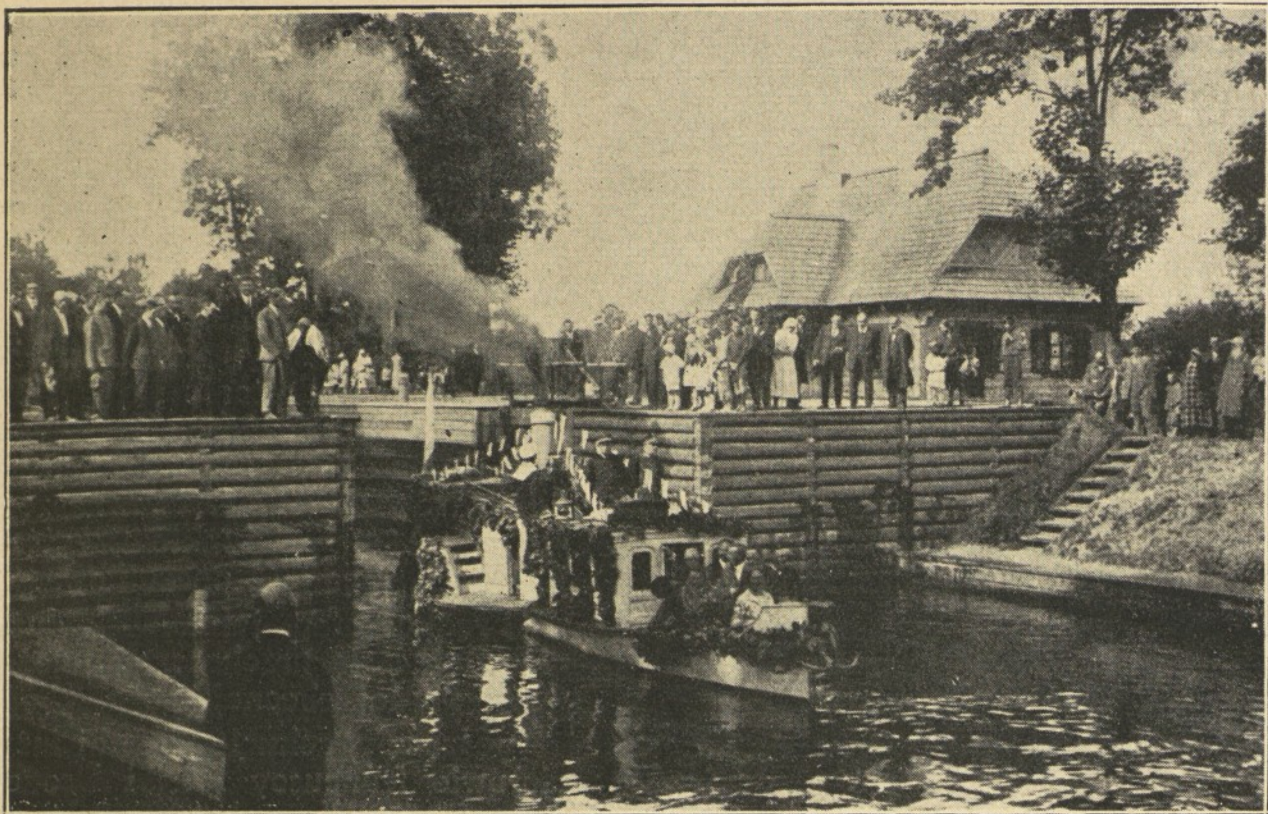
Przegląd wyżej wymienionych książek stwierdza, iż piśmiennictwo nasze podróżnicze jest obecnie w rozkwicie.

Dr. Z. M.

POMNIK LEGJONISTÓW W SZCZYPIORNIE



W dn. 7 b. m. odsłonięto w Szczypiornie, miejscu internowania, pomnik legjonistom, którzy nie chcieli przysięgać na wierność państwom centralnym. Uroczystego odsłonięcia dokonał marszałek Józef Piłsudski



Otwarcie odbudowanego kanału im. Michała Ogińskiego.

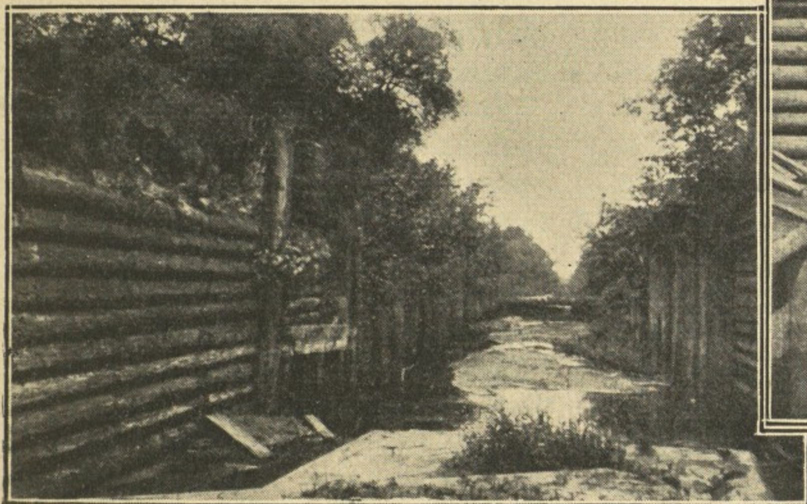
Słynny kanał im. Ogińskiego, łączący system wód wpadających do morza Czarnego i Bałtyckiego, został w r. 1915 przez uchodzących rosjan zniszczony. Władze polskie rozpoczęły odbudowę tej ważnej wodnej drogi już w r. 1923. Obecnie przed miesiącem d. 9 lipca r. b. kanał ten został oddany do użytku publicznego przez ministra robót publicznych, inż. J. Moraczewskiego.

Fot. inż. St. Ihnatowicz

Fragment z uroczystości poświęcenia kanału Ogińskiego. Statek „Szczara" po prześluzowaniu wypływa na dolną wodę otwartego kanału (śluza L VIII w Telechanach).



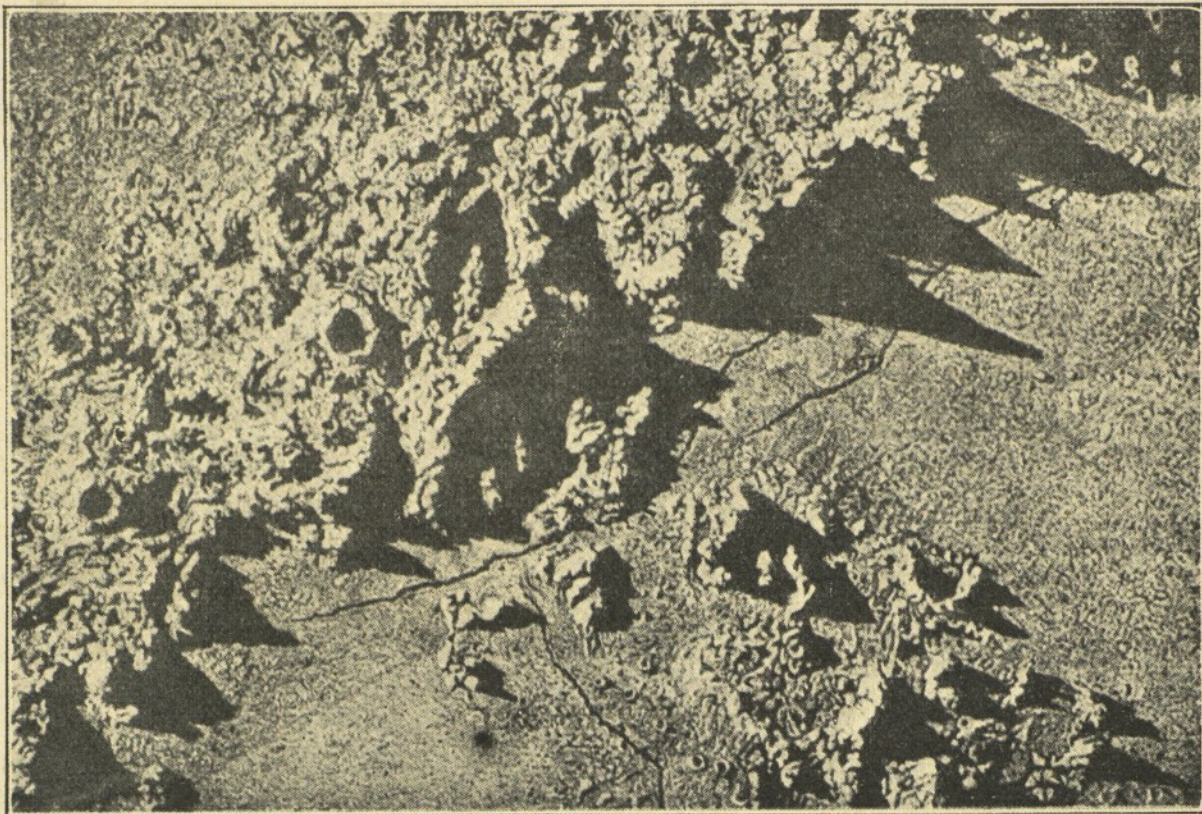
Jedna ze śluz w trakcie budowy



Kanał Ogińskiego przed budową



Motorówki wojenne z flotylli Pińskiej — po raz pierwszy śluzują się w Telechanach na kanale Ogińskiego.



Cienie, rzucane przez góry księżycowe

Podróż naokoło księżyca

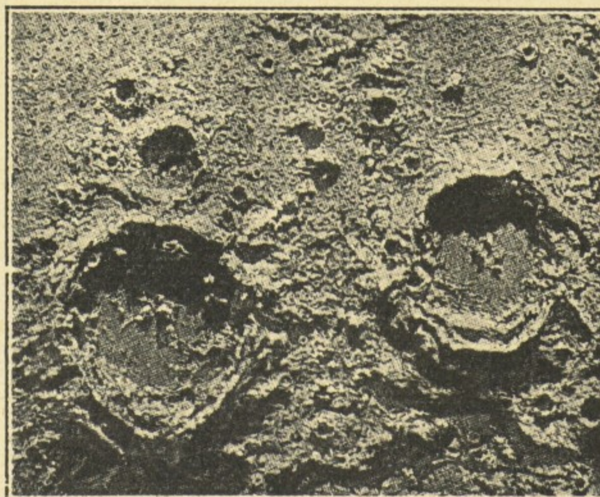
Pośród myśli, zaprzątających głowy awanturników i oryginałów w różnych epokach czasu, kiełkowała nierzadko chęć dostania się na najbliżej od nas zawieszone ciało niebieskie, t. j. na księżyc. Dokładne stosunkowo i obfite wiadomości, jakie posiadamy o naszym satelicie, jak również odległość jego od ziemi, wynosząca zaledwie około 382.000 kilometrów, co zdaje się być bagatelką w zawrotnych przestrzeniach wszechświata — upoważniają niejako śmiałków do snucia fantastycznych projektów podróży na księżyc. Zresztą autorowie tej miary, co Edgar Poe, Jules Verne i Wells, również nie pominęli sposobności, by dać folgę swej fantazji na wspomniany tu temat. Lecz jednocześnie trzeba zaznaczyć, że, jeśli w innych dziedzinach spotykamy często pewne genjalne przebłyski, wykrzesane z wyobraźni autorów, pewne jakby prorocze rewelacje, które nauka i technika później czyni rzeczywistością — to tutaj natomiast żaden z pisarzy nie dał choćby najmniejszej wskazówki, w jaki sposób „podróż na księżyc" mogłaby odbyć się.

Mamy tu na myśli już nie konkretny plan, ale choćby sposób *technicznie* możliwy. Podawane zazwyczaj metody są dość naiwne, i, jak łatwo się przekonać, najzupełniej niewykonalne. Do takich należy np. zastosowanie balonu, użycie pocisku, wystrzelonego z ogromnego działa, lub też skonstruowanie wehikułu z materji nieważkiej (?). Jak widzimy, są to wszystko puste słowa, nie mające związku z tą nauką, która jedynie może nam wskazać właściwą drogę, o ile by ta droga istniała, to jest z mechaniką.

Z drugiej strony, rozwój techniki w ostatnich latach szedł tak potężnemi etapami, że najśmielsze oczekiwania z przed lat kilkudziesięciu są już wtyle za wciąż kroczącym postępem.

Słowem, rozwiązanie wielu zagadnień, które niedawno jeszcze napotykało trudności, dziś może być realnem, albo stać się niem jutro.

Wracając teraz do naszego tematu, w czem się streszcza całe zadanie? Chcąc dostać się na księżyc, należy wznieść się w przestrzeń, przekroczyć sferę działania siły ciężkości ziemi i... dostać się w podobną sferę naszego satelity. Mechanika teoretyczna uczy nas, iż jest to tylko kwestja prędkości początkowej, z jaką ciało będzie podrzucone z powierzchni ziemi ku zenitowi. W naszym wypadku wystarczy prędkość początkowa 10.900 metrów na sekundę, nie biorąc pod uwagę oporu powietrza. Ewentualny pocisk, wyrzucony z tą prędkością, przeleci, jak powiedzieliśmy, sferę przyciągania ziemi i dostanie się w sferę przyciągania księżyca, rozpoczynającą się na odległości około 330.000 kilometrów od powierzchni naszego globu. A zatem punktem wyjścia jest tutaj prędkość początkowa.



Kratery na powierzchni księżyca, [obserwowane przez teleskop

Prędkość ta, jakkolwiek duża, nie zdaje się przekraczać możliwości naszej obecnej techniki.

Jeszcze w roku 1913 dwaj inżynierowie francuscy Mas i Drouet, podali sposób uzyskania podobnej prędkości, sposób, coprawda, nie pozbawiony licznych cech ujemnych, skoro chodzi o zastosowanie go w praktyce. Technicy francuscy projektowali użycie koła o bardzo dużej średnicy, na obwodzie którego znajdował się wagonik, mieszczący podróżnych. Koło to miało być wprowadzone w ruch, przy zwiększającej się stopniowo szybkości obrotowej, aż do 50 obrotów na sekundę. W tym momencie wagonik miał być odczepiony i rzucony w przestworza. Należałoby, naturalnie, pomyśleć i o niebezpieczeństwie, grożącem podróżnym, gdyby wózek miał być odczepiony nagle. Wskutek bezwładności masy, groziłaby im niechybna śmierć. Przy prędkości wagonika, wynoszącej 12 kilometrów na sekundę w chwili opuszczania obwodu koła, przyśpieszenie, ze względu właśnie na bezpieczeństwo pasażerów, nie może wynosić więcej, niż 5 metrów na sekundę. Rachunek wykaże, że dla osiągnięcia potrzebnej prędkości należałoby obracać koło, stale zwiększając jego prędkość, przez 2400 sekund, czyli, powiedzmy, godzinę.

Po takim eksperymencie należałoby zapytać podróżnych o stan ich zdrowia... Ale są inne jeszcze objekcje przeciw wspomnianemu projektowi! Koło miało mierzyć 100 metrów w średnicy. Pomijając już miljonowe koszty podobnej budowli, natrafiamy na inny szkopuł, natury czysto mechanicznej, przeciw któremu walczyć nie możemy: na siłę odśrodkową. Przy wskazanej średnicy siła ta zyskałaby taką wartość na obwodzie koła, że żadna sztuka techniczna nie umiałaby zabezpieczyć ostatniego od rozlecenia się na kawałki.

Ale powyższy projekt staje się o wiele łatwiej wykonalnym przez odwrócenie zadania...

Wagonik zamiast stanowić jedną całość z kołem, może być odeń oddzielony, samo zaś koło zamienione na podwójny tor kołowy, ułożony na ziemi. Ostatni może znajdować się w tunelu, hermetycznie zamkniętym, z którego wyciąga się możliwie dokładnie powietrze za pomocą pomp, a to w celu zmniejszenia oporu, podczas ruchu wagonika. Wagonik ten spoczywa na platformie, ślizgającej się po szynach bez kół, za pomocą łyżew specjalnego rodzaju. Obfite strumienie smaru są posyłane pod ciśnieniem między szyny a łyżwy, co zmniejsza tarcie między temi powierzchniami o dziewięć dziesiątych. Napęd platformy wraz z wagonikiem możnaby otrzymać przez zastosowanie systemu Dalaitzelmy (t. zw. trakcja styczna) za pomocą statora, umieszczonego między szynami, i rotora, znajdującego się przy platformie. Jeśli teraz określimy średnicę toru kołowego na 20 kilometrów, to największa wartość rozwiniętej tu siły odśrodkowej będzie czterysta razy mniejsza, niż przy kole pp. Mas'a i Drouet'a. Przy tym systemie wystarcza, by wózek wykonał jeden obrót w ciągu pięciu sekund, dla uzyskania ostatecznie szybkości 12.500 metrów, zredukowanej przy wejściu w atmosferę do 10900 metrów. Wagonik, wyrzucony w ten sposób w przestworza, stałby się masą bezwładną, niezdolną do jakiejkolwiek inicjatywy w znaczeniu zmiany swego toru. Lecz nic nie przeszkadza zaopatrzyć go w motor reakcyjny, który, mogąc wyrzucać gazy przez wyloty rur, rozmieszczonych w różnych punktach wagonika, będzie na zasadzie prawa reakcji przesuwać go w stronę przeciwną wydechowi gazów. Wysiłki zresztą potrzebne do poruszania wagonika w tę czy inną stronę, będą coraz to mniejsze, gdyż w miarę oddalania się od naszej planety, siła jej przyciągania zmniejsza się w stosunku kwadratów odległości, czyli bardzo znacznie.



Pierwsza kwadra księżyca. Fotografja teleskopowa

Np. na odległości od ziemi 50 promieni ziemskich siła ta jest tak słabą, iż nasz wagonik, ważący normalnie, przypuśćmy, 5000 kilogramów, ważyłby tam nie więcej, niż dwanaście i pół kilograma.

Wróćmy jednak do naszego wagonika, który nabrawszy odpowiedniej prędkości na torze kołowym, właśnie zamierza opuścić go, aby rzucić się w przestrzeń. W tym momencie zostaje on sprowadzony na odcinek toru prostego, styczny do toru kołowego. Zwyczajne przestawienie zwrotnicy wystarczy w tym celu. Wspomniany odcinek jest skierowany w stronę przeciwną ruchowi obrotowemu ziemi.

W ten sposób wagonik zostaje zepchnięty w przestrzeń, przyczem prędkość jego zmniejsza się w miarę oddalania się od ziemi. Na odległości 54 promieni ziemskich wagonik znajdzie się na granicy sfer przyciągania ziemi i księżyca, czyli prędkość jego zostanie w tym momencie sprowadzona do zera. Nastąpi to po 84 godzinach podróży od ziemi, czyli po trzech z połową dniach. Wtedy siła ciążenia ku księżycowi, w połączeniu z siłą reakcji, której źródło wagonik nosi w swoim motorze, zmusi nasz wehikuł do opisania krzywego zamkniętego toru naokoło księżyca. Wreszcie po dokonaniu tej niezwykłej podróży, wagonik wróci na ziemię, w takim samym czasie i z taką samą prędkością, z jaką z niej wyruszył. Powietrze, niezbędne do oddychania dla członków ekspedycji, może być łatwo dostarczone, posiłkując się skroplonym tlenem. Jeden litr takiego tlenu daje 800 litrów tlenu gazowego, z której to ilości człowiek zużywa tylko 600 litrów na dobę. Wystarczyłoby zatem 25 litrów tlenu skroplonego dla ekspedycji, składającej się z 3 ludzi, na dni dziesięć.

Kwas węglowy i para wodna— produkty wydzielane przy oddychaniu — mogą być łatwo usunięte przez użycie odpowiednich chemikalji.

Najodpowiedniejszą formą dla wagoniku byłaby przypuszczalnie forma pocisku szrapnelowego, posiadającego wewnątrz komorę, odpowiednio urządzoną. Korpus takiego pocisku, sporządzony ze stopu aluminjowego, musiałby posiadać podwójne ściany, na podobieństwo znanych powszechnie „termosów", a to w celu uchronienia go od straty ciepła podczas podróży wśród przestworzy, gdzie panuje temperatura bliska zera absolutnego.



Pełnia księżyca. Fotografja teleskopowa

Wreszcie specjalne ostrożności należałoby zastosować w celu zapewnienia podróżnym bezpiecznego lądowania przy powrocie na ziemię. Ogromna prędkość w chwili uderzenia pocisku o ziemię pociągnęłaby za sobą ich niechybną śmierć. Udałoby się może zastosować spadochron, który, odczepiając się od korpusu pocisku w pewnej chwili, umożliwiłby śmiałkom, powracającym do ziemskich pieleszy, bezpieczne wylądowanie.

Jak widać, podobnego rodzaju podróż pozwoliłaby najwyżej obserwatorom obejrzeć naszego satelitę z niewielkiej odległości, jednak bez lądowania na jego powierzchni. O ile chcielibyśmy uskutecznić i to ostatnie, trzebaby przypuścić, iż pocisk zaopatrzony jest ponadto w nadzwyczaj potężny motor reakcyjny, mogący wyrzucić go z należytą prędkością z powierzchni księżyca na ziemię w drodze powrotnej. O istnieniu takiego motoru nie mamy pojęcia, a najśmielsze posunięcia w technice nie wróżą nam jeszcze możności zbudowania go.

Narazie więc ambicje nasze powinny raczej obracać się w „skromnej" sferze podróży naokoło księżyca...

Inż. Z. Kacprowski.

Z TYGODNIA

W bibliotece klubowej kilku poważnych obywateli, wciśniętych w głębokie fotele, gwarzy półgłosem o sytuacji politycznej, Co rząd zamierza uczynić w najbliższej przyszłości, jakie są jego plany? Domysły, domniemania, hypotezy... Aż głos zabrał jeden ze starszych dygnitarzy parlamentarnych:

— Według mnie, wybory do nowych Izb odbędą się w lutym lub w marcu roku przyszłego. Odbędą się według dotychczasowej ustawy wyborczej. Rząd będzie się mało interesował ich przebiegiem i wynikiem.

Ktoś zapytał:

— Można-ż się spodziewać, aby nowy Sejm był w nowym składzie lepszy od obecnego?

— Nie. Prawdopodobnie będzie równie rozstrzelony, bez zdecydowanej, jednolitej większości, a więc niezdatny do konsekwentnej twórczej pracy. Skoro tylko te braki wykaże, — a zapewne nie będzie z tem zwlekał, — rząd odezwie się do społeczeństwa:

— Sejm znów jest niezdolny do pracy, trzeba go rozwiązać. Ale i dotychczasowa ustawa wyborcza musi być zła, jeśli takie rezultaty daje. Więc należy ją zmienić.

Wówczas dopiero nastąpi istotny okres sanacji parlamentarnej. Zmiana ustawy, nowe wybory...

— No, i starania, aby tym razem wypadły po myśli rządu...

...Domysły, domniemania, hypotezy, — gawędy klubowe...

. . . .

Pensje urzędników państwowych mają być podwyższone. Nic słuszniejszego. Urzędnik państwowy w stosunku do swojej pracy, wykształcenia i odpowiedzialności, jest stanowczo bardzo pokrzywdzony. Od dłuższego czasu jesteśmi świadkami smutnego widowiska: co zdolniejsze siły uciekają z posad państwowych.

Aby jednak podwyżka zaznaczyła się w budżecie urzędnika państwowego, musi być dość znaczna. Drobna podwyżka nie przyniesie mu żadnej ulgi. W ogólnej sumie dla państwa jednak będzie poważnym ciężarem.

Powiecie — niekonsekwencja! Jeśli mała podwyżka będzie dla państwa ciężarem, to cóż dopiero większa! Tak, ale większa podwyżka odniesie przynajmniej skutek, spełni swe zadanie. Zaś rozwiązania trudności budżetowych, z tego nowego ciężaru wynikających, należy szukać równocześnie. Płacąc dobrze urzędnikom, można od nich wymagać więcej. Można tedy zmniejszyć ich liczbę. Należy przystąpić do reorganizacji systemu pracy w biurach. Skończyć z chińszczyzną, która każdy papier przez dziesięć rąk przesuwa, marnując czas i tamując bieg spraw. W centralnych biurach ministerjalnych już nastąpiła znaczna poprawa. Ale w innych, na prowincji! Ogrom machiny administracyjnej wprost przeraża. Zwłaszcza, że każdemu interesantowi wydaje się ona niesamowitym potworem, usiłującym powstrzymać normalny rozwój życia.

. . . .

Por. Jani, porwany przez bolszewicką soldateskę i przez sześć tygodni więziony w Mińsku, opowiedział dziennikarzom warszawskim swe przeżycia... Dowiedzieliśmy się, w jaki to sposób w raju sowieckim odbywają się badania, jak są traktowani więźniowie, jakim mękom moralnym i fizycznym bywają poddawani. I potem organy sowieckie śmią pisać o białym terorze w Polsce, o okrucieństwie władz polskich! Nasi rodzimi komuniści śmią wysławiać reżim sowiecki, jako ideał nowoczesnego życia! A naiwni w swej szlachetności utopiści, wiodący spokojny żywot w zachodnio - europejskim komforcie, dają się brać na lep byle intrydze i występują z protestami nie przeciw gwałtom i ohydnym praktykom czerezwyczajek sowieckich, lecz przeciw orzeczeniom sądów polskich i postępowaniu naszych władz więziennych!

. . . .

Ohydna rudera, stercząca czerwonym kominem obok pałacu Kronenberga, ma być wreszcie usunięta. Na jej miejscu będzie wzniesiony piękny gmach dla Komisarjatu Rządu. Plac Saski zyska na tej zmianie wiele, zwłaszcza jeśli styl nowego gmachu będzie dostosowany do projektów ogólnej regulacji.

Aby przecież z tego jedynego, większego placu w śródmieściu, jaki Warszawa posiada, uczynić istotnie coś pięknego, trzeba przedewszystkiem zabrukować go, a raczej wyasfaltować. Żadna bowiem regulacja nie pomoże, jeśli na tym placu w dni wietrzne hulać będą tumany kurzu, zaś niepogoda zamieniać je będzie w błotne trzęsawisko, z kałużami brudnej wody. Tymczasem wyasfaltowanie nie jest podobno przewidzianem, jakoby że plac ma służyć do parad wojskowych. Tłomaczy się to — poszanowaniem historycznej tradycji.

Tłomaczenie to nie ma mocnych podstaw. Przypomina ono roztkliwiania się pewnych dzienników, gdy na Marszałkowskiej lub na Nowym Świecie burzono parterowe, zbutwiałe „dworki" z prymitywnemi gankami, by na ich miejscu budować wielkomiejskie kamienice. Odbywanie parad wojskowych w centrum stolicy jest pomysłem, niezgodnym z nowoczesnym rozwojem życia. A potem, wartość tej rzekomej tradycji jest zasadniczo więcej niż problematyczna. Któż to wprowadził w życie owe rewje na placu Saskim? W. ks. Konstanty. Tam to, jak stwierdza Barzykowski w „Historji powstania Listopadowego", oficerowie nasi „codzień na wszystkie kaprysy byli wystawieni, i codzień poniewierani i upokarzani. Plac Saski był polem, na ten cel obranem". Kiedy gen. Chłopicki, mimo nalegań Konstantego i samego Mikołaja, do dymisji się podał, tak tłomaczył swe postanowienie:

— Nie na placu Saskim chwały nabyłem i nie na nim topić ją myślę.

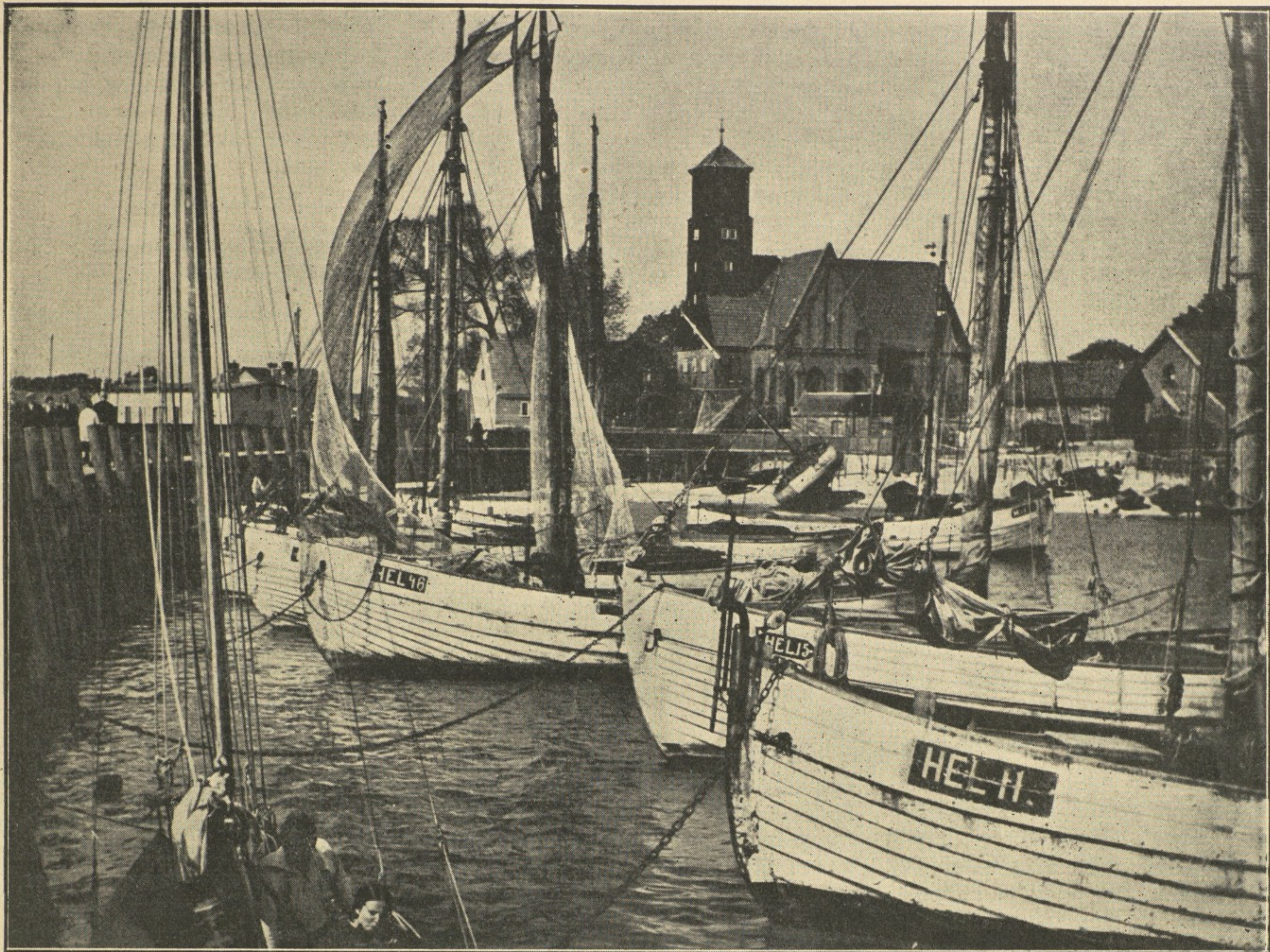
Plac Saski, jako miejsce ćwiczeń wojskowych, jest wspomnieniem bezwstydnych okrucieństw, popełnianych przez moskali na najszlachetniejszej młodzieży polskiej. Warto-ż było burzyć sobór, jeśli do tych wspomnień przywiązuje się taką czułość!

. . . .

Przyszła kreska na Matyska. Teraz ofiarą zalotności kobiecej padły węże. Skóra z tych gadów stała się najmodniejszą ozdobą strojów kobiecych. Clement Vautel twierdzi, że to jest zemsta za intrygę, za owo zdradzieckie jabłko, którem Ewa okupiła gwałtowną ewakuację z raju. Trzeba przyznać w takim razie, że Ewa umiała długo czekać. Prawdopodobnie w myśl maksymy: zemsta jest potrawą, która najlepiej smakuje na zimno.

W Paryżu bogate elegantki całe suknie każą sobie robić ze skór wężowych. Mniej zamożne kontentują się aplikacjami i ozdobami. W świecie gadów zaniepokojenie. Żegnaj, spokojne wygrzewanie się w słońcu! Czyhałeś grzechotniku na Bogu ducha winnego przechodnia? Teraz tobie grozić będzie nieustanna zasadzka. Dotąd ludzkość wyrzekała na zdradzieckie instynkty wężów. Teraz węże będą miały prawo skarżyć się na podstępną chytrość polujących na nie ludzi. Tak bywa w życiu. Dziś mnie, jutro tobie.

skrz.



Hel. Przystań rybacka Fot. „Photo-Plat"

POD BAŁTYCKIEM SŁOŃCEM

2)

Jedź do Jastarni!

Chcesz prawdziwie odpocząć, jedź do Jastarni, albo jeszcze lepiej do Karwi. Pieniędzy wydasz niewiele, użyjesz świetnej plaży (niech się schowa żwirowata Nizza! tutaj masz piasek, jak mleko, jak sterylizowana śmietanka), a strojem obowiązującym w Jastarni jest pyjama. Od ósmej rano do ósmej wieczór. Co kraj, to obyczaj. W porównaniu z Jastarnią Gdynia jest północnem Cannes. A Zoppoty!... W Zoppocie mały pokój hotelowy kosztuje dziewięć guldenów za dobę, czyli osiemnaście złotych bez kilku fenigów i trzeba się cztery razy na dzień przebierać, jak na dworze angielskim w galówkę: inaczej do rannych jajek na miękko, inaczej do miodowej zupy z cukrem o godzinie pół do drugiej, inaczej do białej kawy z pieprzonym waflem o czwartej, inaczej do berlińskiego szampana o dziewiątej. W Jastarni żyje się bezceremonialnie, prymitywnie, mile, pośród kaszubskich rybaków, którzy słodką wodę łowią w kadzie podczas deszczu, bo miejscowa woda słodka posiada kolor brunatny. Herbaty nikt tutaj nie pija, ponieważ lepsze jest mleko. Zato każdy mieszczuch o najbardziej ograniczonej łepetynie czuje się tu kolosem cywilizacji. Wydaje mu się, że jest starożytnym obywatelem rzymskim śród półdzikich cymbrów. Imponuje mu jego własna pyjama w pomarańczowe kraty i twardy melonik.

Poczciwy kaszuba ma go naturalnie za idjotę, ale idiota z punktów centralnych Rzeczypospolitej ani tego przypuszcza. Łazi sobie boso po gorącym piasku, szuka bursztynów z muchą i myśli, że pełne morze, na które właśnie patrzy, dopiero teraz nabrało rzeczywistego znaczenia, gdy on, stały mieszkaniec Pragi warszawskiej, tutaj przyjechał trzecią klasą i zaczyna systematycznie się opalać, żeby pękła ze złości panna Florentyna, która w pamiętny wieczór przed miesiącem dała mu kosza na moście Poniatowskiego.

Kto zamieszkał w Jastarni, ten doznaje wrażenia, jakby zdjął z siebie niewidzialny wieloletni gorset. Małe, niby niedostrzegalne dotąd, dolegliwości odlepiają się od nas: zapominamy o istnieniu polityki, o programach partji, o plotkach sejmowych, senatorskich, ministerjalnych, przychodzi nam na myśl jeden tylko minister poczt i telegrafów, uśmiechamy się do niego zalotnie i wzdychamy w duchu:

— Och, panie ministrze Miedziński, postaw śliczny dom pocztowo - telegraficzny na tym cypelku kaszubskim, bowiem wygodna i dobrze funkcjonująca poczta to największa radość na takiem pustkowiu.

U okienka telegraficznego.

Przy sposobności niech mi będzie wolno powtórzyć rozmowę, która się toczyła w Gdyni u okienka telegraficznego.

Nadawczyni do urzędnika:

— Kiedy ta depesza będzie w Warszawie?

Urzędnik nadskakująco uprzejmie:

— Za pięć minut.

— Za pięć minut doręczą ją adresatowi?

— Kiedy ją doręczą, nie wiem, proszę pani, ponieważ nie wiem, jak w Warszawie działa doręczanie, ale do Warszawy przyjdzie depesza za pięć minut.

— Proszę o kwitek.

— Kwitek?

— Tak.

Urzędnik przestaje być nadskakujący. Oddala się wolno od okienka. Mija długa chwila.

Nadawczyni niecierpliwie:

— Proszę pana, ja czekam.

Urzędnik cierpko:

— Musi być wszystko przepisane i kwit trzeba sporządzić.

Za plecami nadawczyni uśmiecha się złośliwie jakiś pan z blankietem w ręku.

— Zawsze trzeba brać pokwitowanie — mówi półgłosem. — Dwie depesze, które stąd wysłałem bez pokwitowania, nie doszły. Doszła dopiero trzecia, pokwitowana.

Powtarzam wiernie tę rozmowę, usłyszaną na poczcie gdyńskiej, nikogo nie oskarżając i nikogo nie broniąc, ponieważ nie miałem czasu na dokonywanie doświadczeń z depeszami niekwitowanemi. Jednak sądzę, iż o powyższej rozmowie publiczności pod okienkiem urzędu telegraficznego w Gdyni pan minister Miedziński powinien być zawiadomiony.

Wieczorem... ceremonialny strój balowy.

Wieczorem... młodzież męska zdejmuje pyjamy i nakłada ceremonialny strój balowy, t. j. białe spodnie, jasne marynarki, miękkie kołnierzyki i barwne krawaty, ponieważ, kto żyw, idzie na dancing. To też nazajutrz śliczna plaża Jastarni zaczyna się roić od kąpielowiczów dopiero o godzinie jedenastej. Miejscowy fryzjer, rezydujący w drewnianym kiosku obok szyn kolejowych, onduluje dancerki na słońcu, ponieważ nie ma elektrycznego osuszacza włosów. Operacja ta trwa dwie godziny i, ze względu na ogromne spożycie energji słonecznej, kosztuje o złotówkę więcej, niż w Warszawie.

Na Helu, w Borach i w Jastarni spotyka się mnóstwo znajomvch. Baryton Opery Warszawskiej, p. Palewicz, utrzymuje, że na Helu łatwiej się opalić, niż w Jastarni, ponieważ Hel leży na Południu, gdy Jastarnia na Północy (piętnaście minut drogi). P. Józef Chmieliński, filar teatru Narodowego w Warszawie, a jednocześnie świetny artysta-rzeźbiarz i malarz, zasiadł w Borach i maluje morze. W Jastarni buduje sobie leśniczówkę z pracownią malarską znany artysta, p. Nierenstein, który co rok spędza śród kaszubów kilka miesięcy, leczy ich, portretuje, gawędzi z nimi, i powiada, że bez Jastarni jużby nie mógł wyżyć. W tych dniach spodziewa się gościa: p. Zygmunta Bartkiewicza, równie świetnie władającego pędzlem, jak piórem. W Gdyni nabiera cery p. Brzeziński i lada dzień znajdzie się tutaj — przejazdem z teatru Narodowego do Polskiego — p. Jerzy Leszczyński.

W Zoppotach (inni mówią w Copocie) przeważa nasza mniejszość narodowa. Tutaj jest prawie „zagranica", wygody, drogo, stroje, koncerty i ruleta.

Ruleta.

I ja pojechałem zobaczyć.

Więc przedewszystkiem zbliżyłem się do otwartego parterowego okna bankowego, wychodzącego na ulicę Seestrasse w gmachu kasyna i poprosiłem urzędnika, chorobliwej tuszy, aby mi zmienił złote polskie na guldeny gdańskie. Odpowiedział po niemiecku, że nie rozumie.



Więc zapytałem go, czy mówi po francusku. Odpowiedział, że nie. Więc zapytałem go, w jakich językach mogę się z nim rozmówić po za językiem niemieckim. Odpowiedział:

— Po hiszpańsku.

Spojrzałem nań tak wymownie, że zaraz dodał:

— Ewentualnie po włosku.

To mnie rozśmieszyło. Włosi przecież w Wielkiej Wojnie także walczyli przeciw niemcom! Odwróciłem się do tłuścioszka plecami i odszedłem. Ale żeby Kasyno Zoppockie liczyło na klientelę z Madrytu i z Neapolu — tegom nie przypuszczał. Bo jeżeli władze gdańskie sadzają w gmachu ruletowym urzędnika bankowego, który zamiast mówić po polsku i po francusku, włada językiem Cervantesa i Danta — a okolicznych niemców nie wpuszcza się do domu gry — to znaczy, że ruletę zoppocką obsiadają przeważnie hiszpanie i włosi! Niech pan prezydent Saam idzie zobaczyć tych hiszpanów! Niech porozmawia z tym włochem, który tydzień temu wygrał sto czterdzieści tysięcy guldenów i wrócił do siebie na Południe do.. Łodzi!

Bardzo byłbym za tem, aby w Gdyni urządzić ruletę dla mieszkańców Rzeszy Niemieckiej, przyczem polski zmieniacz pieniędzy powinien mówić równie dobrze po francusku, jak po niemiecku i — ze względu na srogą powagę instytucji — nie powinien być tak operetkowo tłusty, jak ów zoppocki Sanszo - Pansza, urzędujący w kasynie zoppockiem od ulicy.

Z wygranemi pieniędzmi nie wiadomo, co robić. Jedzie się więc do Gdańska i ze zdumieniem się widzi, że wszystko w Gdańsku jest droższe, niż w Warszawie. Droższe i gorsze. I przypominamy sobie, że przecież Gdańsk, choć dla samego siebie jest stolicą, to jednak w stosunku do Warszawy jest prowincją, a na prowincji zawsze trudniej kupić dobrą rzecz, niż w stolicy. Wracamy tedy do Jastarni, do Karwi, do Borów, do Gdyni, opalamy się w słońcu, i odpoczywamy po wielkomiejskim turkocie, przysłuchując się szumowi morza, które opowiada, opowiada, bez końca rzecz mądrą, kojącą, prawdę głęboką, wieczystą, niepodobną do powtórzenia ludzkiemi słowami.

Wacław Grubiński

Ż E G L U G A

(Z CYKLU: MÓJ PRZYJACIEL RAUL)

— A ja ci powiadam, — rzekł Raul, — że to nie żadna kubistyczna ekstrawagancja z mej strony, lecz wpadła mi poprostu myśl do głowy.

To jej tam wcale przestrono, — odparłem z miną rozmówcy, choć mi się zupełnie nie chciało djalogować.

— Skautyzm dla dzieci, sporty i te tam różne pięcioboje dla młodzieży, dobrze.. — ciągnął dalej niezrażony Raul, — a co dla nas? dla dorosłych?

— Czy nie zauważyłeś, jak piękną mamy pogodę.

— Zauważyłem: To też ja od dziś propaguję sanację fizyczną dla całego narodu z mniejszościami i obu płciami włącznie, co?

— Dziwne, że do tej pory nie spostrzegłeś jeszcze, jakie w tej knajpie są oryginalne lampy.

— Podziel się z niemi tem spostrzeżeniem, to im zrobisz przyjemność. Wczoraj bardzo intensywnie dowodziłem pewnej miss.. Wiesz, tej kasjerce...

— Wiem...

— Że powinna odrodzić się fizycznie, wraz ze mną.

— Bój się Boga, toż to panna!

— Właśnie: proponowałem jej w tym celu wycieczkę.

— Dokąd?

— To mój interes. I pomyśl, — rutyniczny umysł tej niedorozwiniętej blondyny nie był w stanie objąć mej idei.

— W takim razie należało tobie objąć ją w stanie.

— Sprośnyś, jak prowincjonalny farmakolog.

— Więc powiem, że gdybyś jej zaproponował przejść się za ciebie, toby napewno na taką wycieczkę odrodzenia się zgodziła.

— Możliwe. Ale wracając do rzeczy. Ograniczyłem wobec tego zakres mego programu narazie do samego siebie. Od wczoraj nie palę.

— Własnych papierosów, tylko cudze...

— Oszczędzam...

— Sobie, nieprzyjemnych chwil pracy...

— Codzień robię przechadzkę trzykilometrową...

— Łżesz, jak agencja telegraficzna.

— Przechadzkę trzykilometrową, powtarzam: dookoła bilardu. Codzień trzy godziny w karambole (dżentelmeni grywają tylko w karambole), średnio godzina — kilometr, w rezultacie łażę koło tego interesu ze trzy kilometry. Wprawdzie przyznam ci się, że co do celowości owego sportu mam dużą wątpliwość, bo ciągle przegrywam.

— Pochodź rok z katarynką, zrobisz parę tysięcy kilometrów i ile razy będziesz chciał, zawsze na niej coś wygrasz.

— Być może, atoli są to rzeczy dalsze. Tymczasem nadchodzi właśnie czas mych ćwiczeń karambolowych. Pozwolisz tedy, że cię opuszczę. Czuwaj! Cześć! Czołem! Eja! Eja. Alala!

Nowy bzik mego przyjaciela tak mnie ubawił, kubista wyglądał tak pociesznie z obstalunkowo dziarską miną, że postanowiłem zatrzymać go przy sobie, by nie tracić rozpoczętej uciechy...

— Przyjacielu, — rzekłem, — dam ci propozycję...

— Byleby przyzwoitą.

— Chcesz narazie, jak widzę, trenować się w sporcie pieszym. Udamy się tedy na pewną wycieczkę.

— Ale tramwajem?

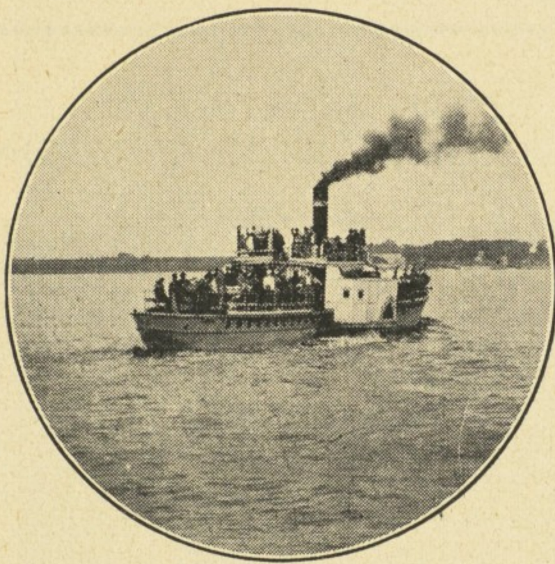
— Narazie tramwajem.

— Kiedy ja chcę chodzić.

— A potem statkiem. Są takie statki na Wiśle, spacerowe. Statek ten będzie sobie jechał, a ty będziesz sobie chodził po pokładzie tam i z powrotem. Jedno drugiemu nie przeszkodzi. Jednocześnie zobaczysz Wisłę.

— Wisłę? Jestto zdaje się jakaś miejscowość geograficzna.

— Bardzo długa miejscowość, bo rzeka, która płynie, trzeba trafu, tuż pod samą Warszawą, jakby się umówiły. Obejrzysz sobie panoramę miasta, zapoznasz się z naszą flotyllą, zobaczysz mosty, jednem słowem, idziemy.



Przejażdżka spacerowa po Wiśle
Fot. J. Malarski

— Jako projektodawca, finansujesz ten pomysł.

Ostatni argument przekonał mnie.

Wyszliśmy. Półgodzinną melancholję wyczekiwania pod przystankiem na odpowiedni tramwaj Raul skracał sobie kostycznemi uwagami pod adresem lokomocji tramwajowej.

— Powiedz mi, autorze jeden, — zrzędził, — dlaczego w tem mieście tramwaje kursują z tak fantastyczną lekkomyślnością. Idzie se na ten przykład siedem siódemek, potem ni z tego ni z owego zero, aż tu nagle dwudziestka jedynka a w rychle potem trójka. Mniemam, że gdyby szły w kolejności liczbowej: naprzód zero, potem as, potem dwójka, potem trójka, i tak aż do miljona, ułatwiłoby to społeczeństwu orjentację w czekaniu i... siadam w ten pierwszy lepszy wagon, bo dłużej tu sterczał nie będę.

Rzekł i wskoczył do jaknajbardziej niewłaściwego wozu. Musiałem pójść w jego ślady.

— Narażasz mnie na nadmierne koszta, — rzekłem, gdy konduktor zwrócił mi złotówkę, jako fałszywą, — a przez ciebie będziemy musieli przesiadać się jeszcze raz i nie udała mi się przytem pewna tranzakcja giełdowa.

Jakby chcąc mnie wynagrodzić za przykrości, Raul nagle począł mnie wypytywać o wspaniałości miejskie, mimo których przejeżdżaliśmy. Mijaliśmy właśnie hotel „Bristol".

— Nie mógłbyś mi przypadkiem wyjawić, — zaczął kubista — jaka myśl przyświecała architektowi, by na samym kancie dachu tego oto drapacza chmur umieścić tak pojemną balję. I to na tak filigranowych słupkach.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Istotnie na dachu hotelowym widniało, snadź jako ozdóbka, naczynie w kształcie szaflika bez uszek, za to z dziurką w dnie, kokieteryjnie podklinowane kolumienkami.

— Zawsze zauważysz coś niewłaściwego, — wystrofowałem kubistę,—prawdopodobnie po za efemerydą estetyki musiały w tej sprawie grać rolę względy natury gospodarczej: Naczynie omawiane napewno służy za zbiornik dla miękkiej wody deszczowej, bardzo pożytecznej podczas wielkiego prania, o które chyba w tak wielkim hotelu nie trudno. W chwilach zaś wolnych od powyższego przeznaczenia cysterna owa służy niewątpliwie za poidło dla miejskiego ptactwa. Patrz lepiej na tę perspektywę z prawej strony. Widzisz Wisłę?

— Nie widzę, — rzekł z żalem, wspiąwszy się na palce, Raul.

— Bo ją zasłaniają domy; gdybyś mógł podskoczyć, tobyś napewno zobaczył. A teraz musimy się przesiąść. Nie łaź po nogach! Siadaj. Nie tłocz się! Stań tu spokojnie. Cicho! Skaut powinien słuchać rozkazu. Ani mru-mru. Stój tu grzecznie, bo jak mi jeszcze raz nadepczesz na nogę, to powiedz przynajmniej „przepraszam", rozumiesz?

— Rozumiem, — odparł oszołomiony kubista i w tej chwili wlazł na nogę jakiemuś orjentalnie ubrodzonemu typowi.

— Przepraszam, — wydukał deserowym głosem, spiorunowany mym wzrokiem, — przepraszam — powtórzył.

— Proszę nie nadepcić i proszę nie przeprosić, — wspaniałomyślnie odrzekł typ, skrzywiwszy się.

— Stań tu przy mnie. Pani wybaczy, ale kolega mój nieco niedowidzi. Kalepieć. Na szczęście, właśnie odchodzić cho bądź! Patrz, tu jest Zjazd, tam Wisła, a tu stopień tramwajowy, z którego nie zleć wysiadając.

— Posłuchaj słów moich, zatracona imitacjo rymopisa, — odzyskał mowę Raul, gdyśmy znaleźli się pod mostem, opodal przystani parostatków. — Posłuchaj! Gdyś mnie traktował w tramwaju, jak podrzutka, nie zareagowałem słownie ani czynnie jedynie dlatego, żem poprostu zgłupiał, a secundo, że jako dorosły skaut muszę zrobić jeden dobry uczynek codzień. Ale jeżeli coś podobnego spotka mnie z twej strony, tam, na statku, to, potrzecie, wracam do kawiarni, a po czwarte, wrzucę cię do wiślanej wody łbem naprzód pod koła korabla w pełnym biegu. Skończyłem. Idziemy.

Teraz na mnie przyszła kolej zgłupieć. Na szczęście, właśnie odchodzić miał spacerowy parostatek. Po kładce z brzega wciekał na pokład strumyk pasażerów. Na debarkaderze muzyka rżnęła od ucha niewiadomo co. Z mostu liczni przechodnie gapili się na ceremonję odjazdu parowca, a niemniej liczne łobuzy niezmiernie celnie pluły na głowy wycieczkowiczów.

— Idź-że, nie bój się,—popychałem po kładce kubistę.

— A czy ten bucentaur umie jechać bez wysypania się?

— Umie.

— A nie wpadniemy na jaką górę lodową?

— Nie.
— A nie sprzedadzą nas gdzie korsarze ludożercom, jako żywy towar?
— Co z ciebie za towar. Najwyżej próbka bez wartości.
— Pamiętaj!
Weszliśmy z miną ossendo-goetlową na pokład.
— Słuchaj, przypomniałem sobie, — rzekł nagle Raul, — ja choruję na morską chorobę.
— Sapristi... Kiedyś ty jeździł okrętem?—spytałem, przezornie odsunąwszy się od Raula.
— Dlaczego okrętem?... Jeździłem karuzelą i młynem djabelskim, to wiem. Słuchaj, czy my pojedziemy na sam środek wody?
— Pojedziemy. Nawet pod prąd.
— Bój się Boga, po co koniecznie tak opozycyjnie: pod prąd!
— Zamilcz, oportunisto. Widzisz, już odjeżdżamy. Patrz, jak pięknie.
W tejże samej chwili statek ryknął, jak wściekły wieloryb. Raul przerażony padł pod ławkę. Zakotłowała się woda wokół burt. Miasto kiwnęło się w jedną i drugą stronę. Tuż obok nas celnie rzucone z mostu zgniłe jabłko trafiło stojącego wiślanego wilka morskiego w sam nos. Ruszyliśmy.
— Czekaj ty, słodki synu! — ryknął marynarz, wygrażając pięścią w górę. — Znajdę ja ciebie.
— Uszanujmy dramat rodzinny i cios, jaki otrzymał z ręki syna ten nieszczęśliwy ojciec, — rzekłem, uwodząc kubistę na przód statku.—Spójrz, jak wspaniale wygląda stąd amfiteatr naszego grodu. Spójrz na tę panoramę gmachów, kominów fabrycznych i ruder. Spójrz na te mosty, tu — jeden, tam — trzeci.
— A gdzie drugi?
— Nie przeszkadzaj! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak długo trwała naprawa trzeciego mostu.
— Nie zdaję.
— Dwanaście lat.
— Nie może być. Aż tak długo!
— I to jeszcze całe szczęście, że naprawiano ten most akurat wpoprzek rzeki. Pomyśl, ile by czasu zużyto, gdyby go tak chciano zrekonstruować wzdłuż Wisły. Lecz wreszcie zbudowano.
— Zapewne. Chociaż, z drugiej strony, jeżeli kobieta, żeby być dobrze zbudowaną, musi użyć na to conajmniej ze 16 lat, to znów taki głupi most.
— Zawsze masz predylekcję do cynicznych porównań. Napawaj się raczej widokiem tego ludu, krzątającego się poważnie a bez celu po bulwarach. Rzuć okiem na tę parę statków, — armadę niezwyciężoną przez nikogo, chyba przez konkurencję. Toż my przy takim tonnażu moglibyśmy w razie gwałtownej potrzeby odkryć chociażby Amerykę. Rzuć no teraz okiem na Warszawę.
— Dziękuję, już rzucałem, — i kubista jął intensywnie spozierać w górę, gdzie właśnie na wyższym pomoście wiatr rozwiewał szeroko sukienkę jakiejś panience.
— Czy wiesz, co powiedział Lesseps o Warszawie, — starałem się odwrócić zdrożną ciekawość Raula na przedmiot poważniejszy.
— Lesseps! Powiedział... Co za nóżki... Patrzcie państwo... Do kogo powiedział...
— Doprawdy nie wiem, ale...
— To cóż liryk chce, żebym ja wiedział, co ktoś tam powiedział, niewiadomo do kogo. Popatrz, co za noga....
— Nawet dwie, ale co ci z tego przyjdzie. Otóż Lesseps powiedział... doprawdy patrzeć tak na tę trochę łydek, to wstyd... Zresztą są za wysoko... Otóż Lesseps....
— Lesseps, powiadasz? Ładne „trochę łydek", chybaś się nie przyjrzał rzeczowo. A któż to był ów Lesseps?...
—Człowiek, który skanalizował przesmyk Suezki. Stanowczo popsujesz sobie wzrok, wytężając go nazbyt.
— Nic sobie nie zepsuję, a ty odczep się ze swoim inżynierem od kanalizacji i nie zasłaniaj mi...
— Otóż Lesseps powiedział, że Warszawa ma największą przyszłość ze wszystkich miast w Europie.
— A niechże go wszyscy djabli...
— I za co?...
— Że przestał wiać... I moje łydki usiadły. Teraz opowiadaj sobie dalej, tylko na litość nie o Lessepsie, dobrze?... Co robią naprzykład ci ludzie tkwiący w krypach? Czego oni szukają na dnie rzeki temi drągami? Zapewne muszą to być nasi politycy, którzy mącą wodę.
— Nie. Oni wydobywają żwir.
— Żeby potem wrzucać kamienie pod nogi ludziom. Widzisz, zgadłem, że to są politycy. A dlaczego tam się tłoczy tylu ludzi rozebranych w wodzie, jakby ją chcieli jeszcze bardziej zabrudzić? Zdaje się, że deszcz zaczyna padać! Ty masz zawsze pomysły z wycieczkami.
— Tłoczą się, bo tam jest plaża. Zdaje ci się, że deszcz pada. To są zwykłe sadze z komina parostatku. Rozmaż na twarzy, to się przekonasz. Rozejrzyj się teraz, jak pięknie naokół. Minęliśmy trzeci most: tam pozostał port zimowy: widzisz te łąki, patrz, jak szeroko i malowniczo płynie Wisła.
— Czy my tu nie zbłądzimy?
— Nie obawiaj się.
— A piraci na nas nie napadną? Oho, tam żegluje jakaś dżonka. Bezpośrednio w naszym kierunku! Słowo honoru, wali wprost na statek! Lecę do kapitana! Za chwilę będzie katastrofa.... Gdzie są u djabła pasy ratunkowe i szalupy! Co to za porządki. Panie kapitanie, toniemy! awarja!....
— A warjat, istotnie, ale z ciebie!... nie drzyj się! Nie utoniemy, bo już siedzimy na piasku. Możemy wobec tego spokojnie pójść do kabiny restauracyjnej, bo nim stąd ruszymy, to przestanie lać i ten deszcz, który przed chwilą istotnie mżyć począł.... Chodź, mamy czas.
Kubista uspokojony udał się za mną. W sali resturacyjnej przy koniaku zacząłem mu fundamentalnie wykładać obszerny plan regulacji Wisły. Słuchał mnie pilnie i wtrącał trafne uwagi.
— Więc pomyśl, — rozpalałem się,— od samego Krakowa...
— Niech żyje Kraków!
Wypiliśmy zdrowie Krakowa.
— Od Krakowa do Tczewa...
— Niech żyje Tczew! — Wypiliśmy zdrowie Tczewa.
— Posiadać będziemy cudowną spławną arterję....
— Niech żyje arterja... — Wypiliśmy zdrowie arterji.
Byłem w połowie wykładu, gdy statek wygramolił się z piachu, i sunęliśmy z prądem wzdłuż Warszawy. Raul rozmarzonym okiem taczał się po brzegu, idąc za szlakiem mych uwag.
— Widzisz te bulwary.... olbrzymie... ukwiecone klombami a zdobne w pomniki....
— Ach... ach widzę.... Zdrowie pomników!
— Widzisz te monumentalne gmachy, spiętrzające się amfiteatralnie.
— Naturalnie, że widzę. Zdrowie amfi.. amfitratra... wogóle...
— Widzisz: pałac na pałacu — — Sejm — — Centralna rzeźnia... — Akademja nieśmiertelnych! — Widzisz statki wszystkich ziem świata zawijające do przystani.... Spójrz na te bandery!...
— Zdrowie bander, ale stojąc!... — Zaczęliśmy pić stojąc, ale że statek chwiał się nieznośnie, skończyliśmy siedząc.
— Widzisz Warszawę, jako jedno wielkie centrum tranzytowe! Serce handlowe Wschodu z Zachodem, serce, w którem zbiega się kwer pracy europejskiej, by ożywczym prądem popłynąć na handlowy podbój....
— Niech żyje handlowy podbój! Wiwat! Panie kapitanie, ruszamy na podbój.... całą parą! Rozwiń wszystkie żagle!... zmierzaj do stałego lądu, widnego na horyzoncie!... przybijaj!...
Istotnie, statek przybił do lądu, ale nie stałego, gdyż chwiał się pod naszemi stopy.
— Czyżby trzęsienie ziemi? — bełkotał wystraszony kubista, trzymając się mnie.
— Bardzo możliwe, choć to niezmiernie rzadki fenomen pod tą szerokością geograficzną, — pocieszałem go, trzymając się słupka.
— Wobec tego, póki co, udajmy się, wiesz, liryk, pod strzechę domową, by przeczekać ten kataklizm.
Uznałem słuszność rozumowania Raula, i poczęliśmy zmierzać do pieleszy, zgodnie holendrując.

Kazimierz Wroczyński

PARK SKARYSZEWSKI OZDOBIONY PIĘKNA RZEŹBĄ



Kilkakrotnie nagrodzona rzeźba St. Jackowskiego p. t. „Tancerka" została ustawiona w Parku Skaryszewskim. Odsłonięcia dokonał p. prezydent inż. Z. Słomiński

Maszyna do wiercenia ziemi

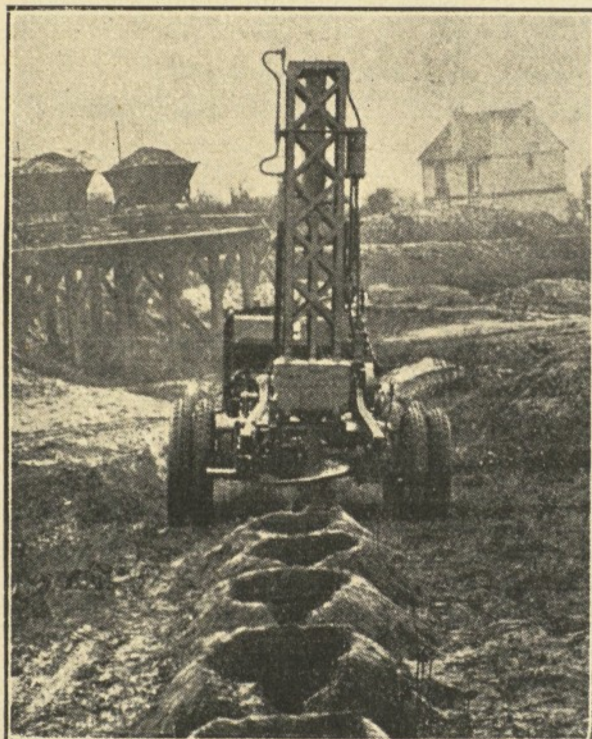
Technika współczesna wkracza ustawicznie w coraz nowe dziedziny, dążąc do zastąpienia pracy rąk ludzkich, uzbrojonych nie zawsze doskonałem narzędziem, pracą maszyny, wykonującej swoje zadanie z idealną doskonałością i sprawnością. Temu w niemałej mierze zawdzięcza swe wielkie postępy w ostatnich dziesiątkach lat rolnictwo, leśnictwo i t. p. Traktory, maszynowe żniwiarki, młocarnie, piły motorowe, potężne „djabły leśne" do karczowania i t. d. i t. d., oto niektóre z tych technicznych zdobyczy, które zastąpiły żmudną i trudną pracę rąk ludzkich, przyspieszając uzyskiwanie rezultatów i udoskonalając otrzymywane wyniki.

Jedną z czynności, która długo pozostawała wyłącznie zadaniem ręki ludzkiej, było kopanie. Jest to praca bardzo uciążliwa, która nawet przy najzręczniejszem użyciu motyki i łopaty daje bardzo mierne rezultaty. Aby chociaż trochę dopomódz człowiekowi w tem ciężkiem zajęciu, skonstruowano już dawniej parową łopatę do kopania rowów i dołów. Ale konstrukcja ta nie była zbyt doskonała, a przedewszystkiem nie usuwała zasadniczego błędu, jaki tkwił w technice kopania.

Chodzi mianowicie o to, że — jak to zresztą dość dawno obliczyli francuscy technicy — ilość ziemi, którą się wydobywa przy kopaniu dołów, aby uczynić żądaną głębokość otworu, jest teoretycznie zawsze taka sama, chociaż średnica dna otworu będzie się zmieniać od kilku do kilkunastu cm. Wynika to z niemożności kopania cylindrycznego. Robotnik musi kopać lejkowato, aby móc wydobywać ziemię i wskutek tego otwór, który przy podstawie ma żądaną średnicę, przy wierzchołku staje się sześć do ośmiu razy większy, aniżeli trzeba. Stąd wynika paradoks, że mały dołek wymaga większego wysiłku rąk ludzkich, aniżeli duży. Trudno temu zaprzeczyć.

Na szczęście, technicy nie lubią takich paradoksów, które przecież psują im opinję, to też postarali się błąd naprawić i obmyślili bardzo interesującą maszynę do wiercenia w ziemi cylindrycznych otworów. Konstrukcja maszyny, stworzonej przez francuskich techników, jest nadzwyczajnie prosta. Przypomnijmy sobie zwykły świder, którym umie się posługiwać każdy człowiek: ostry koniec świdra opieramy o drzewo i obracamy, naciskając ustawicznie, dopóki nie dojdzie do żądanej głębokości. Wtedy wyciąga się go odwrotnym ruchem. Na tej tak nieskomplikowanej zasadzie oparli francuscy technicy konstrukcję „wiertarki ziemnej".

Wiertarka składa się z ogromnego świdra o spiralnej powierzchni z toczonej stali, przytwierdzonego górną częścią do słupa osiowego. Przy końcu świder jest zaopatrzony w ostrze i trzy noże, ułożone jeden nad drugim. Zapomocą kół zębatych i łańcuchów słup osiowy połączony jest z motorem o sile 20 KP., który ma również przekładnię do sześciokołowego samochodu, na którym konstrukcja jest zmontowana. Tym sposobem motor może wprawiać w ruch samochód, albo też obracać świder z prędkością 40 obrotów na minutę. Świder tkwi w rusztowaniu, mającem kształt wieży. Górna część wieży jest drewniana, dolna metalowa; kończy się ochraniaczem dla kół transmisyjnych. Dzięki poziomej osi w ochraniaczu, wieża może wykonywać obrót w obrębie kilkudziesięciu stopni i tym sposobem może pracować pod różnym kątem nachylenia, co ma ważne znaczenie przy wierceniu na stokach górskich lub przy drążeniach poziomych. Specjalny mechanizm pozwala unieruchomić wieżę w każdej dowolnej pozycji.



Maszyna do wiercenia ziemi

Na wierzchołku wieży, na osi świdra znajduje się tłok pneumatyczny, poruszany oliwą, dostarczaną zapomocą pompy. Wprawienie tłoka w ruch pozwala uzyskać ciśnienie aż do około 3000 kilogramów w czasie wkręcania i wykręcania świdra. Mała rurka reguluje dopływ oliwy do tłoka.

Sprawność maszyny jest bardzo duża. Na zwykłym gruncie wiertarka ziemna może wywiercić w ciągu godziny pięćdziesiąt do sześćdziesięciu otworów o średnicy 60 cm. i głębokości 10 cm. Wykonywa więc pracę conajmniej dwunastu silnych i wyćwiczonych kopaczy ziemnych. Zastosowanie jest bardzo rozmaite. Maszyna kopie pospiesznie i dokładnie otwory na słupy telegraficzne, może oddać ogromne usługi przy plantowaniu roślin i drzewek. Francja postanowiła przedewszystkiem zastosować ją w plantacjach kauczuku w Indochinach, aby zastąpić bardzo kosztowną a mało wydajną pracę rąk ludzkich.

St. I.

❈ ❈ ❈

Co Polska traci skutkiem niedostatecznego uprawiania nauki

Niedawno odbył się drugi zjazd naukowy w Warszawie, zwołany celem rozejrzenia się w zadaniach, jakie ma przed sobą do spełnienia nauka polska. Zjazd ten zgromadził elitę intelektualną. Wygłoszono referaty: „Zadania uczelni akademickich, jako ośrodków kształcenia młodzieży" (prof. W. Świętosławski) oraz „jak pogodzić ze sobą dwie równoległe funkcje szkół akademickich: przygotowania młodzieży do zawodów praktycznych i pracę naukowo-twórczą" (prof. J. Sosnowski i Stanisław Kot).

Nad referatami rozwinęła się bardzo ciekawa, pozytywna dyskusja. Rezultaty jej zostały ujęte w odpowiednie definicje i przedłożone będą tak rządowi, Sejmowi, Senatowi, jak i tym instytucjom społecznym, które doceniają wagę nauki. Ktoby chciał zapoznać się z przebiegiem obrad zjazdu — może to w każdej chwili uczynić. Wydano właśnie „Pamiętnik z II zjazdu naukowego", jako VIII tom wydawnictwa Kasy im. Mianowskiego p. t. „Nauka Polska". Głos prof. Franciszka Bujaka zasługuje przytem na szczególne wyróżnienie. W odbitce zatytułowanej „Co Polska traci skutkiem niedostatecznego uprawiania Nauki" mówi znakomity ten obywatel i uczony:

„Najpiękniejszą ambicją, którą Polska po odzyskaniu niepodległego bytu może i powinna żywić, jest stać się mocarstwem ducha, wejść w grono narodów przodowniczych, które najwięcej przyczyniają się do postępu ludzkości. Ponieważ stać się to może tylko przez wytrwały rozwój badań naukowych, społeczeństwo i państwo powinny popierać je jaknajgoręcej. Jak niegdyś Polak był tam wszędzie, gdzie gotowała się rewolucja, gdzie rozpalała się walka o wolność, tak teraz Polacy powinni brać jak najżywszy udział w wysiłkach ludzkości o postęp kultury i nauki".

Pod względem moralnym zaniedbania na polu naukowem przynoszą straty wcale nie mniejsze, niż w dziedzinach życia materjalnego. Jak to słusznie pisze prof. Bujak: „zaniedbanie nauki uszczupla dobrobyt i opóźnia postęp gospodarczy i kulturalny ludności, co się wyraża niższą stopą życiową ogółu ludności, większą, niżby być mogła, śmiertelnością, gorszem odżywianiem się, mniejszem urozmaiceniem życia, mniejszym rozwojem umysłowym, niższym poziomem moralności i t. d...."

Zjazd naukowy warszawski nietylko stwierdził i udowodnił potrzebę rozwoju nauki polskiej, wskazał drogi i przedłożył sposoby realizacji swoich dezyderatów. Społeczeństwo nasze bowiem, uznając potrzebę oświaty wogóle, jeszcze nie rozumie, czem być winna nauka, jako taka. Byłoby niezmiernie pożyteczne, gdyby szerszy ogół obywateli zapoznał się z tem ważnem zagadnieniem.

F.



Wspaniały i trudny do chwycenia moment, pod bramką Jutrzenki: Kogut (Pol.) strzela! Fot. „Photo-Plat"

Tydzień sportowy

Niedole zagraniczne drużyn piłkarskich— Uparte Dynasy — Imponujący dorobek kawalerzystów polskich — Kino i Dempsey — Szczyt fantastyczności wyników piłkarskich.

W historji piłkarstwa znane są tragiczne tournée drużyn footbalowych, czyli t. zw. wyprawy zagraniczne... Dla jednego z najbardziej sprofesjonalizowanych sportów, jakiem jest piłkarstwo, dobrze obmyślane i szczęśliwie przeprowadzone podróże takie bywają doskonałym interesem.

Bardziej znane na rynku piłkarskim i posiadające dobrą „markę" kluby europejskie organizują teraz coraz częściej wyprawy po złoto i zwycięstwa w obce kraje, a w ostatnich latach nawet do dalekiej Ameryki.

Znana jest historja wojażu Hakoachu, żydowskiej drużyny wiedeńskiej, po St. Zjed.

Bilans tej wyprawy nie należał jednak do najpomyślniejszych. Zespół Hakoachu został w ciągu kilkudziesięciu meczów potężnie przetrzebiony przez najemnych „rzeźników" piłkarskich amerykańskich drużyn.

Zdziesiątkowany komplet wiedeńczyków, zbity, skontuzjowany i poutrącany, poniósł jednak największe straty w tych graczach, których przekupiły amerykańskie kluby za łakome dla biednych wiedeńczyków dolary.

Ogałacanie z graczy przez Amerykę drużyn czeskich, węgierskich i austrjackich przybrało w ostatnich czasach tak niebezpieczne rozmiary, że na ostatniem posiedzeniu międzynar. federacji piłki nożnej postanowiono wykluczyć Amerykę ze związku, o ile nie przerwie swej handlarskiej polityki. Stany Zjednoczone przyrzekły na kongresie poprawę, tymczasem w ostatnich czasach zniknął z Londynu słynny bramkarz mistrzowskiego Arsenalu, za którego klub zapłacił 180.000 zł!....

Znaleziono go w Ameryce!

Pierwszym polskim klubem, który wybiera się za ocean, jest krakowska Wisła.

„Zakontraktował" ją dawny manager Zbyszka Cyganiewicza.

Podczas swego 6-cio tygodniowego pobytu w U. S. A. rozegra Wisła 14 meczów.

Impreza ta będzie kosztować 60 tysięcy dolarów!

W jakim stanie wróci komplet jej graczy z tej wyprawy, trudno przewidzieć.

Dotychczasowe jednak doświadczenia nie wróżą nic dobrego. Jedno tylko można stwierdzić objektywnie, że piłkarstwo polskie idzie w swoim rozwoju najgorszemi śladami zagranicy. Interesy klubów zaczynają grać decydującą rolę w ich polityce sportowej.

Rezultat eskapady wiślanej „może być" taki, że jedna z najlepszych drużyn polskich wróci zdziesiątkowana, rozbita i pozbawiona szans w przyszłym sezonie rozgrywek ligowych.

Cóż jednak zrobić, wzorki zagraniczne mają tyle uroku, że trudno się im oprzeć, zwłaszcza w dzisiejszych czasach nędzy europejskiej.

Ostatnio secesyjna, nieligowa Cracovia przekonała się, że nie trzeba nawet wyjeżdżać za ocean, żeby być doszczętnie zmaltretowaną i zniechęconą do opuszczenia progów rodzinnych.

Wystarczyła jej na to maleńka podróż po słynnych krajach „skotopasów" bałkańskich.

W czasie swych występów w pobratymczej Bułgarji przekonali się krakowianie, że umowy i przepisy sportowe, to bardzo względna rzecz, zwłaszcza dla niedorozwiniętych nacji. Znoszono ich z boiska na meczu z sofijską Slavią, jak z pola bitwy, a „bracia słowianie" na widowni przyklaskiwali tej rzezi.

Jakże daleko jeszcze (albo już) jesteśmy od ideału szlachetnej walki sportowej.

*

Dynasy były niedawno widownią nieszczęśliwego wypadku, któremu uległ najlepszy polski motocyklista, Choiński. Wypadek ten dowiódł jeszcze raz, że tor na Dynasach nie nadaje się do biegów motocyklowych. Choiński doznał silnych obrażeń, z których najgroźniejszem jest złamanie kości biodrowej. Pomimo tego ostrzegawczego wypadku, zarząd Warsz. Tow. Cykl. uparł się i w dalszym ciągu urządza zawody motocyklowe. Wygląda to trochę na obcinanie kuponów z nieprzyjemnej i nieszlachetnej reklamy, którą zrobiono sobie wypadkiem Choińskiego....

Jest to bardzo charakterystyczne dla naszych czasów!

*

W jednym z ostatnich numerów Przeglądu Sportowego podano bilans polskiego sportu jeździeckiego na polu międzynarodowem.

Hippika polska należy do czołowej klasy światowej. Jedyny to sport, w którym nie łatwo nam dorównać. Jak widać z zestawienia wyników od 1923 r., polscy kawalerzyści zdobyli imponujące ilości nagród: pierwszych 43, drugich 32 i t. d. Wszystkich nagród, wliczając w to ostatnie konkursy w Łazienkach, zdobyli 364 bez uwzględnienia wyników londyńskich, które należą również do pierwszorzędnych w ogólnym bilansie występów zagranicznych.

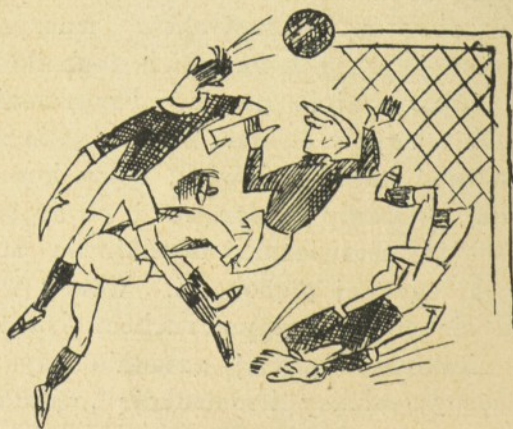
*

Boks można dzisiaj nazwać narodowym sportem amerykańskim. Odpowiada on doskonale bezwzględnej i brutalnej psychice yankesów.

Doszedł w tym tak niesympatycznym dla nas europejczyków kraju bez-



Mecz piłkarski w karykaturze. Na trybunach



Tak wygląda klasyczna „główka" do bramki. Bramkarz Jutrzenki truchleje!

czelnego materjalizmu, dzikiej reklamy i pogoni za złotem do światowego poziomu i króluje bezapelacyjnie nad innemi kontynentami.

Amerykanie przeżywają teraz emocjonujące chwile. Dempsey, ex mistrz świata, dochrapywuje się znowu do utraconego tytułu.

Antypatyczny król pięści odniósł ostatnio kwestjonowane zresztą pod względem czystości uderzeń zwycięstwo nad Jackiem Sharkeyem (który zagradzał mu drogę do rewanżowego spotkania z Tunneyem.

Kino, które w roli eksperta miało dowieść, czy Sharkey rzeczywiście dostał uderzenie poniżej pasa — zawiodło. To ocaliło Dempseya i w jesieni staje on do decydującej walki. I znowu powtórzy się historja miljonów dolarów zainkasowanych za wstępy na mecz i przed wynędzniałą w powojennych niedostatkach Europą zabłyśnie przesada amerykańskiego sportu, który w tej formie i o takie wartości „walczący" traci wogóle cały sens i wszystkie szlachetniejsze uroki....

Na naszym lechickim, skromnym terenie mieliśmy ostatnio bez pomocy miljonów dolarów sensacyjną niedzielę ligową. Warszawa w tej bitwie piłkarskiej przegrała na całej linji.

Dla zilustrowania kalejdoskopowości wyników ligowych podajemy je tym razem wszystkie w komplecie, jako dowód znakomitego ożywienia piłkarstwa naszego, które w ostatnich latach zamierało już na dobre. Najbardziej niespodziewaną klęskę poniosła Legja warszawska z „rozklekotaną" w tym roku Wartą poznańską, przegrywając 8 : 1! Drugą niespodziankę urządziła znakomicie Polonia, ulegając Ruchowi z Wielkich Hajduk 6 : 2!

Potem idzie Ł. K. S., który pozwolił się wcale grzecznie stłuc swojemu wiecznemu rywalowi Turystom 4 : 2!

Pogoń pokonała z kolei swoich lwowskich konkurentów Czarnych 3 : 0, a Wisła krakowska zrobiła to samo z Jutrzenką ostatnim maruderem ligowym, bijąc ją 7 : 2!

Takiej kopalni goali jeszcze nie było dotąd.

Po pierwszej serji rozgrywek silniejsze drużyny nabrały rozpędu i w zażartym wyścigu do tytułu mistrza prześcigają się nawzajem w rekordowych ilościach bramek.

Fantastyczność piłkarstwa doszła ostatnio do szczytu!

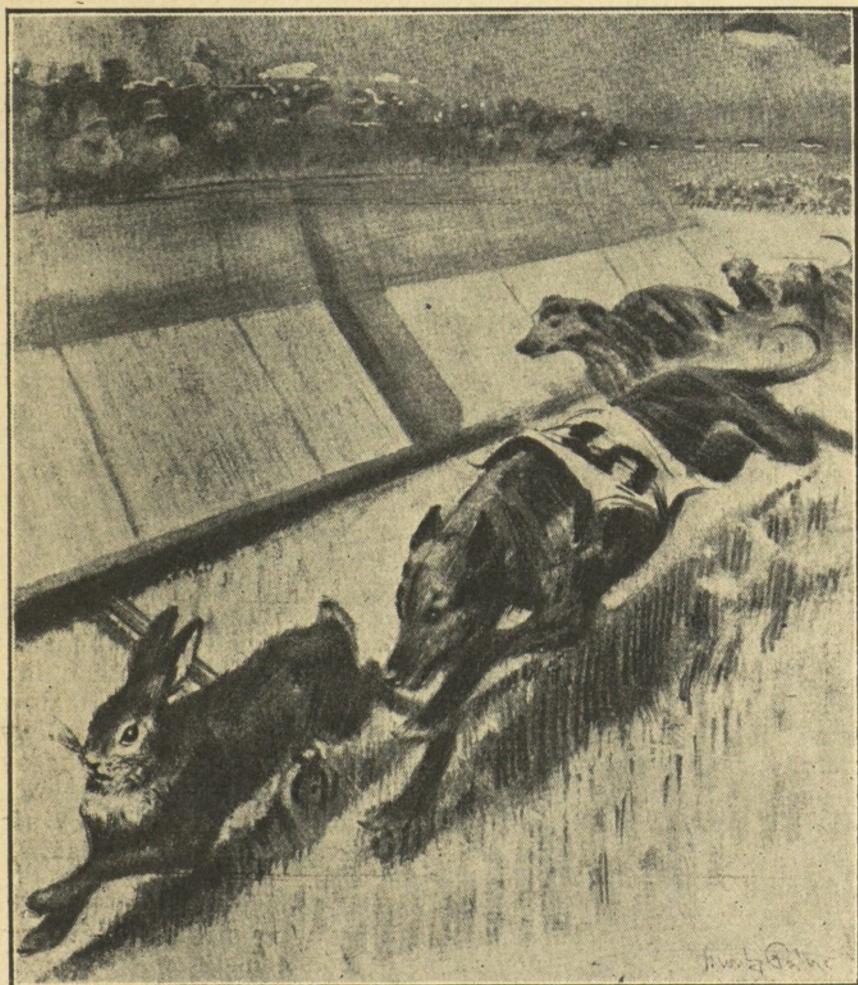
J. M. R.

Z ŻYCIA PROWINCJI. W LUBLINIE



Uroczystość poświęcenia 9 wozów sanitarnych w Lublinie, zakupionych przez tamtejszy okrąg Polskiego Czerwonego Krzyża. Poświęcenia dokonał ks. kan. Dongajłło w obecności władz miejscowych i licznego współudziału mieszkańców.

ANGIELSKIE ZABAWY SPORTOWE



Za sztucznym zającem, umieszczonym na kółku, mkną psy do polowania. Zwycięzca wygrywa grube nagrody.

PREZENT IMIENINOWY W KRAJACH TROPIKALNYCH



Tresowany zebra, jako upominek imieninowy. Podobno nadaje się dobrze do jazdy wierzchem.

WOJNA DOMOWA W CHINACH: PŁACĄ BOLSZEWICY, A PADAJĄ OFIARĄ OBYWATELE CHIŃSCY



Wojska białe zdobywają wieś: zabici i ranni



Wieś chińska po zajęciu jej przez wojska czerwone

Pamiętnik polskiego legalisty

Nazwisko Pawła Popiela w wieku dziewiętnastym powtarzane było wielokrotnie: człowiek ten wyróżniał się specyficznem rozumieniem rzeczywistości naszej politycznej. Żył lat 85. Brał udział w wydarzeniach roku 1830. Reagował ostro na wypadki 1848 roku. Powstanie styczniowe nie obudziło w nim marzeń. Ziemianin ten, wychowany w szkole francuskiej, przesycony był wiarą w legalizm. Posiadał również mocne przeświadczenie o wartości szlachty, a właściwie zamożnego ziemiaństwa, jako warstwy odpowiedzialnej za losy ojczyzny. Ten feodalizm pojęć łagodzony był dużą kulturą społeczną i wielką wrażliwością sumienia. Poglądy jego na wydarzenia wieku XIX są nadwyraz ciekawe właśnie dla nas, którym los pozwolił żyć w wolnej ojczyźnie.

Atmosfera wolności politycznej pozwala bowiem sądy Pawła Popiela skonfrontować nie z nastrojami chwili politycznej, ale z zasadami, na jakich winno opierać się życie normalnego, żywotnego społeczeństwa. Paweł Popiel był legalistą: w lata obcego panowania mogło to wywoływać sprzeciwy, niezadowolenia. Zasadniczo jednak taka postawa polityczna nie może budzić komentarzy. Legalizm cenić dziś musimy, bo na nim wspiera się gmach prawnie funkcjonującego państwa.

Z tej racji pamiętniki Pawła Popiela dla nieuprzedzonego a wnikliwego czytelnika otwierają pole do spostrzeżeń politycznych. Dzieje nasze rozbiorowe, choć nieraz już były przedmiotem osądów, dyskusji, sporów, nie przestaną interesować pokoleń. Jest to pewien tragiczny węzeł naszych losów, który szarpaliśmy i nie mogliśmy go rozwiązać. Paweł Popiel wierzył w nieprzedawnione prawo do wolności narodowej. Niewątpliwie był dobrym i światłym polakiem. Odzywa się jednak o roku 1830 i 1863, ujemnie. Są to przecież daty krwawe, spowodowane, w mniemaniu pamiętnikarza, niedojrzałością społeczeństwa.

Mimo zastrzeżeń Paweł Popiel walczył w szeregach narodowych 1830 roku. Synowie jego poszli do powstania 1863 r. Należałoby z tego sądzić, iż podlegał również złudzeniom, nastrojom, dawał się szachować przez czynniki psychologji zbiorowej.

Interesujące są jego wspomnienia o stosunkach krakowskich. Popiel był założycielem „Czasu". Na wiele spraw miał wpływ dzięki swojej powadze. Politycznej roli nie odegrał jednak, gdyż.... wyrosło już nowe pokolenie i chwyciło ster spraw. „Stańczycy" byli jakgdyby duchowem potomstwem Popiela. Wyznawali przecież wspólne zasady. Brakowało im może wówczas dostojności gestu, który znamionował konserwatystów starej generacji.

Pamiętnik Popiela obfituje w charakterystyki ludzi politycznych tych czasów. Ciekawe są uwagi o margrabim Wielopolskim. Chłopicki, Skrzynecki, Mochnacki, Lelewel, Niemojewscy — toż to ludzie, których znał Popiel. Głos współczesny daje posmak atmosfery tych czasów. Czyż nie jest charakterystyczną choćby taka uwaga, dotycząca czasów późniejszych:

„Przeciw Krasińskiemu (Zygmuntowi) byłem zawsze uprzedzony, ciężko wyrabiał wiersze, przeczyłem jego talentowi — poraz pierwszy poczułem poetę i wieszcza po ogłoszeniu Psalmów Przyszłości.

Uwag takich osobistych, a jednak niezmiernie charakterystycznych zawierają wspomnienia te niezwykle dużo. Wskazują, iż robił je człowiek o umyśle krytycznym, rozważnym, śmiałym. Stronice zatytułowane „wypadki włoskie" przynoszą również materjał polityczny arcyciekawy! Pomylenie pojęć ocenić można teraz lepiej, niż wtedy, gdy rozgrywały się te wydarzenia. Popiel, jako konsekwentny katolik, stanął po stronie papiestwa. Syn jego walczył w armji papieskiej. Teraz wiemy, iż dążenie narodu włoskiego do niepodległości i połączenia wszystkich swoich ziem pod berło domu Savoya, było błogosławieństwem.

Wspomnienia Pawła Popiela są bardzo pouczające. Powinny też obudzić zaciekawienie w szerszych kołach inteligencji. Spisywał je przecież człowiek ustosunkowany, inteligentny i wrażliwy na losy Polski. Zasady rozsądne, charakter prawy, jak mówią te pamiętniki, nie zawsze dają rękojmię należytego ujęcia sytuacji politycznej. Kto miał rację?

Legaliści znali jej cząstkę — a druga niewątpliwie była po stronie obozu rewolucyjnego. Obóz ten dążył przecież do odbudowania wolnego państwa polskiego!

C. Z.

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI UBIEGŁEGO TYGODNIA

SEJM I RZĄD

Konferencja przedstawicieli klubów Sejmowych odbyła się u marszałka Rataja P. Prezydentowi Rzeczypospolitej będzie przedstawiony wniosek o zwołanie sesji Sejmu w pierwszych dniach września.

„Ziemia Pomorska nie może się stać nigdy objektem przetargu w polityce światowej. Na straży zawartych traktatów stoi cała Polska, dość silna, aby odeprzeć każdy zamach na jej odwieczne prawa", — oświadczył p. Prezydent Rzeczypospolitej w mowie, wygłoszonej w Toruniu.

P. Prezydent Rzeczypospolitej po tygodniowym pobycie na Pomorzu, które zwiedził bardzo szczegółowo, powrócił do Warszawy.

Wszelkie zadrażnienia polsko - sowieckie zostały już zlikwidowane, jak wyjaśnił poseł Patek, który przybył specjalnie do Warszawy i został przyjęty na audjencji przez premjera Piłsudskiego.

SPRAWY POLSKIE

Przeciw pobytowi polskiej floty w Gdańsku wystąpił senat Gdański, twierdząc w podaniu do Rady Ligi Narodów, że port w Gdyni jest już dostatecznie rozbudowany. Czy to droga do naprawy wzajemnych stosunków?

Pożyczkę zagraniczną uzyskał Gdańsk na giełdach w Nowym Jorku i Amsterdamie. Warunki względnie korzystne, dzięki życzliwemu poparciu sprawy przez Polskę.

Zawarcia traktatu polsko - niemieckiego domaga się Związek Izb handlowo-przemysłowych Dolnego Śląska. Nareszcie niemcy zaczynają odczuwać na własnej skórze brak porozumienia z Polską.

Warszawa pertraktuje o rozbudowę miasta z wielką firmą amerykańską Chapmana. Wrazie pomyślnego wyniku rozpoczętoby odrazu budowę kilku tysięcy domów.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Narada morska trzech mocarstw zakończyła się bez rezultatu. Ameryka nie traci jeszcze nadziei, że w przyszłości uda się wznowić rokowania z lepszym skutkiem.

Przyczyny niepowodzenia konferencji Genewskiej wyjaśniali w dłuższych mowach lord Balfour i Churchill. Poglądy na zagadnienie parytetu były sprzeczne i to na niekorzyść Anglji.

Tajne zbrojenia w Nadrenji do wojny odwetowej zdezawuował generał Guillaumat w raporcie do francuskiego ministra wojny. Utrzymanie dalszej okupacji okazuje się konieczne.

Skazanie anarchistów Sacco i Vanzettiego wywołało w Ameryce gwałtowne manifestacje, połączone nawet z anarchistycznemi zamachami w kilku miastach. Wszędzie zmobilizowano policję.

Zbrojenia morskie zamierzają przedsięwziąć sowiety, aby się zabezpieczyć przed ewentualnym atakiem floty angielskiej, uważają bowiem, że sytuacja polityczna znacznie się pogorszyła.

RÓŻNE

Rekord światowy długości lotu zdobyli niemieccy lotnicy Edzard i Ristitz, utrzymując się w powietrzu 52 godziny 11 minut i 8 sekund bez lądowania.

Drobiazgi literackie

W SORBONIE I GDZIEINDZIEJ

Wrażenia Tadeusza Boy'a - Żeleńskiego z propagandowej podróży po Francji ukazały się obecnie w odbitce książkowej p. t.: „W Sorbonie i gdzieindziej". Książkę tę poprzedził wstępem „paryżanin", Antoni Potocki. Znalazły się też w niej przemówienia francuskie Boy'a w Sorbonie, na bankiecie w kole literackiem, na bankiecie towarzyszy „des professions intellectuelles".

Płynność narracji czyni z wrażeń tych książkę nieomal beletrystyczną. Przesuwają się ludzie, opisy, wydarzenia ...niemal sercowe, konflikty intelektualne, wypadki komiczne. Są to niby opisy wrażeń przygodnych, a pod piórem Boy'a przekształcają się w powieść o polskim trudzie przeszczepienia francuskiej duchowości na grunt nadwiślański i pracy nad zaznajomieniem z naszą psychiką i wogóle rzeczywistością francuzów.

Dla miłośników literatury „pur sang" znajdzie się rozdział p. t. „Beduk". Mogą pławić się w nim, jak rekiny w oceanie: jest to przecież literacki przyczynek do talizmanomanji Balzaka. I ten zbiór wiadomości podany jest lekko, z humorem a nie bez myśli pedagogicznej. Kto posiadł jakiegoś „Beduka" — może liczyć, iż Paryż z obojętnego miasta stanie się domem niemal rodzinnym. Trzeba tylko... spotkać się na gruncie jakiejś pasji. Boy'a Paryż przyjął serdecznie, bo miał w zanadrzu Balzaka.

W książce „W Sorbonie i gdzieindziej" Boy zamieścił bardzo ciepłą korespondencję, poświęconą „Różyczce". Francuzka ta nazywa się Róża Builly, jest duszą organizacji „Les amis de la Pologne". Jej zawdzięczamy, iż ogół francuski otrzymuje informacje o naszej ojczyźnie. Ona to zorganizowała podróż propagandową Boy'a i przyczyniła się do powodzenia.

Wrażenia Boy'a są lekturą zajmującą. Przynoszą wiele ciekawych spostrzeżeń, jak należy robić naszą propagandę zagraniczną.

Z dziedziny kosmetyki leczniczej

Mięszaniny, które dodaje się do kąpieli podzielić można na 2 kategorje. Pierwsze z nich mają działanie ściśle lecznicze, drugie zaś — leczniczo - kosmetyczne. Do pierwszych należą: przetwory siarczane, dziegciowe i t. p. W drugiej grupie znajdujemy szereg zabiegów stosowanych już bardzo dawno a dziś jeszcze aktualnych, gdyż co prawda, zmienione są one nieco w formie, lecz w zasadzie pozostały te same. Z ważniejszych kąpieli drugiej kategorji na pierwszym planie należy postawić kąpiele aromatyczne (z wyciągiem sosnowym). One działają pobudzająco na tkanki, na stan nas nerwowy uspokajająco. Ekstrakt Sosnowy mamy w sprzedaży w postaci proszku, zawartego w powłoce żelatynowej. Duże też znaczenie mają kąpiele z otrąb. Kąpiel taka łagodzi podrażnienia skóry, powodujej jej miękkość. Dla otrzymania takiej kąpieli gotuje się 1 — 2 kilogramy pszennych otrąb w litrze wody, poczem wywar z woreczkiem dodaje się do wanny. Jeszcze lepsze są otrąbki migdałowe. Niekiedy do otrąb dodaje się subtelnie sproszkowany piasek. Clasen radzi następującą kąpiel: „Otrąbków migdałowych 40,0; suchego węglanu sodu 5,0; korzenia piołunowego 5,0; olejku bergamobowego 4 krople". Ponieważ jednak mięszanina taka jest dość drogą to zalecać ją można przeważnie od mycia twarzy. Mięszaniną tą w ilości łyżki stołowej, po umyciu się rannem, należy rozcierać skórę, poczem spłókać i wysuszyć. W sprzedaży mamy dobre otrąbki „Abaridowe". O ile skóra po kąpieli jest suchą powinno się stosować jakiś krem zawierający dobry tłuszcz. Tu wskazać mogę na „krem lanolinowy" Malinowskiego. W niektórych razach, szczególniej, gdy skóra ma skłonność do łuszczenia się, dobrze działa „krem waselinowy" Malinowskiego. Gdy chodzi zaś nie tylko o udelikatnienie skóry, lecz i o wybielenie, stosuje się „Lait Lavolla" Malinowskiego. Gdy zaś pragniemy usunąć z opalenia to „krem ogórkowy" Malinowskiego. Na zakończenie zaznaczę, że kąpiele kosmetyczno-lecznicze winny mieć temperaturę od 27° do 36°C. i nie trwać dłużej, niżeli 10 — 15 minut.

Dr. med. Feliks Rostworowski

HUMOR ZAGRANICZNY



— Widzę, że się panu teraz dobrze powodzi.
— Tak, zawarłem spółkę z pewnym kapitalistą: on dał pieniądze, a ja — doświadczenie. Teraz ja mam pieniądze, a on zyskał doświadczenie.

(Tribuna)

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIX — Warszawa, dnia 13 Sierpnia 1927 roku — Nr. 33

J. KESSEL i H. IZWOLSKA

31)

ŚLEPOTA WŁADCÓW

— I mówią, że rosjanie nie mają zmysłu do handlu! — zauważył jakiś cierpki głos.

Kornew nie odpowiedział człowiekowi, który wygłosił to zdanie. Był to kapitan, o typie wybitnie mongolskim; opadające wąsy podkreślały usta okrutne, inteligentne i łotrowskie.

— Kto to jest? — zapytał Jerzy, zaskoczony złym humorem przyjaciela.

— Stalin z zaopatrywania. Znieść go nie mogę. Utrzymuje stosunki z wszystkimi rewolucjonistami.

Powracając do ironicznego tonu, który cechował go, Kornew zawołał:

— Napewno nie znasz ostatniego wiersza o Wojejkowie. Posłuchaj...

Lecz w tej chwili wszedł młody człowiek, którego wszyscy powitali z przyjaznym szacunkiem. Rysy miał regularne, twarz pobladłą od hulanek. Bluza podciągnięta adjutanckiemi sznurami ze skówkami i wysokie, miękkie buty, nadawały jego postaci pańską wytworność. Był to bliski krewny cara, przezwany dla swej urody księciem Hipolitem.

Widząc go, Jerzy drgnął. Książę był jednym z pięciu zaprzysiężonych, którzy mieli szesnastego grudnia oczekiwać Rasputina w pałacu Jussupowa. Lecz młody książę nie myślał, widocznie, o tym wieczorze. Rzekł wesoło:

— Oto ostatnie nowiny z Piotrogrodu. Tańczy się tam coraz więcej i wszystkie panie są zwarjowane na punkcie książki hiszpańskiej z średniowiecza o inscenizacji, która podobno dokona przewrotu w świecie teatralnym.

Urwał i zwrócił się do Kornewa:

— Mój kochany, niech pan zechce zatelefonować do dworskiego kwatermistrza, lub do samego Dołgorukiego, i niech mu pan powie, że jestem tu w przejeździe. Niech mi zatrzymają miejsce przy stole jego cesarskiej mości.

— Gdy będzie pan telefonować — rzekł Stalin — to niech pan przypomni, że od trzech dni czekam na zaproszenie.

— Nie zależałoby mi na tem — odpowiedział zimno Kornew, — gdybym posiadał pańskie zapatrywania.

Skośne oczy Stalina rzuciły krótki błysk:

— Dlaczego? — rzekł — Kocham cesarza, jego otoczenie jest mi nienawistne.

Słowa te skierowały rozmowę ku polityce. Słysząc wiecznie te same skargi, śmiertelna nuda ogarnęła Dolina. Spojrzał na zegarek. Pomyślał, że, jeśli teraz wróci do hotelu, ażeby sprawdzić po raz ostatni, czy ubranie jest w porządku, to może uda mu się zabić zbyt długie minuty, które dzieliły go od widzenia się z carem.

* * *

O naznaczonej godzinie, przecinając kordon Ochrany, wszedł Dolin do pałacu gubernatora, który zajmował cesarz, wraz ze świtą. Kozacy z przybocznej eskorty cara pilnowali podwórza. Jerzy odpowiedział na ich ukłon z powagą, jakiej oddawna nie wnosił do ruchów wojskowych.

Dolin szedł za oficerem służbowym. Miał twarz zesztywniałą ze wzruszenia, które starał się zamaskować wszelkiemi siłami. Zatrzymali się na pierwszem piętrze w białej sali. Stał w niej tylko fortepian i fotele obite żółtym aksamitem.

— Sala przyjęć Jego Cesarskiej Mości — rzekł oficer. — Jest jeszcze pusta, ale za chwilkę zapełni się.

Następnie, wskazując drzwi, przed któremi stała warta:

— A to jest pokój cesarza. Tam sypia razem z carewiczem. Tam też pracuje. Odchodzę.

Czując, że ręka Jerzego jest bardzo zimna, dodał:

— Nie trzeba być tak wzruszonym, cesarz jest ujmująco miły.

— Jerzy został sam. Machinalnie obciągnął bluzę i przetarł guziki. W sąsiednim pokoju zadzwonił zegar.

„Zawezwie mnie", pomyślał Dolin.

I serce zabiło mocno, sprawiając ból.

Mijały minuty, a nikt nie zjawiał się po niego. Wreszcie ukazał się stary mężczyzna o przykrym wyrazie twarzy. Był to Katow, lokaj cara.

— Musi pan cierpliwie poczekać—rzekł — Jego cesarska mość rozmawia z Ojcem Sokołowem.

Dolin poznał tego duchownego w Piotrogrodzie. Przypomniał sobie rzeczy, jakie o nim słyszał, rad, że znalazł środek odprowadzający zdenerwowanie. Mówiono, że jest żydem z pochodzenia, lecz mu to przebaczano, gdyż był odważny, energiczny i bezwzględnie uczciwy. Został mianowany w Stawce wielkim jałmużnikiem, i rządził wszystkimi duchownymi armji i floty.

Gdy Ojciec Sokołow wyszedł z pokoju cara, Jerzy poznał natychmiast asyryjski profil, oczy o kształcie migdałów, oliwkową cerę. Wielki jałmużnik przytrzymywał nerwowym ruchem krzyż z masywnego złota, zawieszony na wstędze Zakonu Świętego Jerzego.

Ujrzawszy młodego człowieka, podszedł do niego gwałtownie i po sposobie, jakim ujął go za ręce, Jerzy zrozumiał niecierpliwość, z jaką pragnął się zwierzyć.

— Zwycięstwo, zwycięstwo! — rzekł duchowny z uniesieniem. — Przynoszę cudowną nowinę. Lecz nie chcę mówić tutaj. Przyjdź do mnie.

Uczynił krok do wyjścia. Ale niezdolny powstrzymywać się dłużej, wrócił i pochylony nad uchem Dolina, szeptał drgającym głosem:

— Nie, nie mogę... To zbyt piękne. Posłuchaj: mówiłem z carem o Rasputinie. Powiedziałem, że popieranie tego oszusta jest skandalem, świętokradztwem. Objaśniłem to z punktu widzenia Kościoła.... Zebrałem całą moją odwagę. Byłem stanowczy i nawet zuchwały. Bóg mi dopomógł. Car uznał, że miałem rację. Dziękował mi, pocałował. Widzisz, mój drogi Jerzy Iwanowiczu, jestem bardzo wzruszony.

Olbrzymia nadzieja uniosła Jerzego. Byłoż to możliwe, że car nareszcie zrozumiał? Że ślepy przewidział. Rasputin wygnany, Liza oswobodzona, a życie uwolnione od złych czarów, życie przejrzyste?

— Przyjdź do mnie po śniadaniu, — rzekł Ojciec Sokołow. — Wszystko ci opowiem. I jeżeli znajdziesz chwilę czasu, wstąp do naszej polowej cerkwi i zapal świecę przed naszą cudowną ikoną. To wielki dzień dla nas. Sam car będzie go pamiętać.

W tej chwili wszedł Katow, dał znak Jerzemu, który stracił świadomość swojego istnienia.

Szedł za starcem, jak automat... Zamknęły się za nim cicho drzwi.... Czekał tam car, wsparty o swoje biurko.

Ciało Jerzego skurczyło się, jakgdyby objęte nieprzezwyciężonym mrozem. Pierś wydała mu się skamieniałą na zawsze, a ręce przywiązane do boków. Wobec samego faktu obecności władcy, w proch obracały się wszelkie żale, wszelkie wątpliwości i wszelkie obawy.

O kilka kroków od niego stał Mikołaj II-gi, spadkobierca carów, którzy wykuli ziemię rosyjską.

Od wieków służyli przodkowie Jerzego tej ubóstwianej rodzinie, obdarzonej mocą i przepychem. Dolin czuł w tym pokoju ich obecność; niewidzialni a czynni nakazywali mu cześć i miłość. Wszechwładność tego pomazanego człowieka upoiła Jerzego, jak stary likier. Przedmioty stały się miękkie, linje zaczęły falować, tylko on trwał zesztywniały, niby nieruchoma oś ginącego świata.

Cesarz pochylił nieco głowę, a następnie szybkim i mechanicznym ruchem pogładził kilkakrotnie prawy wąs.

Było w tym geście tyle niezręczności i bezradności, że pomimo swojej wielkiej karności, Jerzy zadrżał. Zdawało mu się, że car sam zrzeka się korony. Ten odruch niweczył raz na zawsze cudowny blask. Legenda o chwale rozpadała się w chwili, gdy nerwowe palce muskały blond wąsy. Teraz, cesarz był dla Dolina tylko nieśmiałym pułkownikiem, który nie umiał nawiązać rozmowy i Jerzy przyglądał się swojemu władcy z bolesnem uczuciem wyższości.

Jak wszyscy oficerowie z jego świty, nosił Mikołaj II-gi bluzę khaki, ściągniętą powyżej bioder skórzanym pasem, niebieskie bufiaste spodnie i wysokie, rosyjskie buty. Order Świętego Jerzego był przypięty do bluzy. Czas, zmartwienia i prawdopodobnie trujące narkotyki, dawane mu w tajemnicy, sprawiły, że cerę miał ziemistą, policzki obwisłe, a pod oczami ciężkie, napuchnięte worki.

Lecz car podniósł spojrzenie na Dolina i łagodna zwiędła twarz rozjaśniła się nagle. W głębi niebieskich oczu spoczywała dziecięca świeżość, niepojęta i niepokojąca czystość. Jak mogła przetrwać po tylu latach przykrych rządów, po tylu rozczarowaniach, buntach, porażkach? Czy mogły takie oczy osądzać ludzi, przenikać wydarzenia?

Myśli Jerzego biegły w przyspieszonem tempie. Szeregi przeróżnych obrazów wypełniały każdy ułamek sekundy. Wyobraził sobie spojrzenie Rasputina — ten żyjący świder—wbite w oczy cara, i zadrżał. A jednak, przypatrując się dokładniej spojrzeniu cesarza, przekonał się, że nie było tylko słabe lecz przedewszystkiem nieobecne. Mimo blasku, brakowało mu ognia i ciepła. Oczy upiększały niezdecydowane usta, krótką brodę, ociężałe powieki, lecz nie odsłaniały tego, co kryła ta maska słabości. Jerzego ogarnęło uczucie niewzruszonej pewności, że nigdy nie zrozumie cara, i że nikt go nie rozumiał.

Z nerwowego napięcia zrodziła się myśl szalona: czy wogóle istniał ten człowiek, tak nikły, tak obojętny, ten kawał złotego szylkretu o świetlanem spojrzeniu, które zdawało się nie widzieć? Czyż wszystko w Cesarstwie nie zdawało się wskazywać na to, że cesarz był tylko formą? Jerzego ogarnęła chorobliwa pokusa, ażeby dotknąć cesarza i przekonać się czy milcząca zjawa nie rozwieje się przy kontakcie z człowiekiem.

Lecz uśmiech, pełen bolesnego wdzięku, odemknął usta Mikołaja II-go.

— Przynosisz mi list od jej cesarskiej mości? Dziękuję. Dzisiaj wieczorem powierzę ci odpowiedź.

— Głos ten poruszył Dolina. Prosty i melodyjny, pełen niewypowiedzianego uroku, wydłużał każdą sylabę, łagodził ją i nadawał dziwne i rzadkie brzmienie muzyczne. A jednak, było w nim to samo, co w spojrzeniu. Brakowało mu tych fal jasnych, ciepłych, harmonijnych, które wzruszają i zniewalają. Głos był daleki i mimo wdzięku, lodowaty. Przemawiał przez niego jakiś inny głos, który tłumił drgania, porywy i skargi, a w którym Dolin poznał głos przeznaczenia. Car poddawał mu się zgóry, car nieustraszony wielbiciel zrządzeń losu.

W cieniu tych niewzruszonych skrzydeł, car wydał się Jerzemu wielkim; lecz trwało to jedno oka mgnienie. Ręce młodego człowieka drżały nieco, gdy wręczał cesarzowi list cesarzowej. Panujący wziął go i tylko tym razem dostrzegł Dolin coś ludzkiego, coś braterskiego w carze. Istotna radość błysnęła w oczach cesarza. Ale natychmiast rysy zastygły w miękkim rysunku, spojrzenie straciło blask i jakby w obawie ukazania osobistych przeżyć, car opuścił opuchnięte powieki.

Powracał do zamkniętego królestwa, oddzielonego od reszty ludzi zasłoną, którą nie tylko on sam zapuszczał.

Zapanowała cisza. Mikołaj II-gi przeciągał znowu wierzchem dłoni po prawym wąsie. Dolin czekał bez ruchu. Wreszcie, cesarz z wymuszonym uśmiechem i martwym głosem zadał pytanie, które należało do obowiązujących:

— Gdzie zostałeś ranny?

— W Galicji, Wasza Cesarska Mość.

— Do jakiego pułku należysz?

— Do trzeciego pułku konnej gwardji, Wasza Cesarska Mość.

Car ożywił się nieco.

— Ach! do trzeciego. Robiłem przegląd w zeszłym roku, w Rostowie. Przypominam sobie, że byłem bardzo zadowolony. Oddasz panom oficerom moje życzenia powodzenia.

(D. c. n.)

XAWERY GLINKA

2) Historja, aż zanadto prawdziwa

Znalazłem się na środku olbrzymiej sypialni, skąpo oświetlonej, wgłębi której stało wielkie łoże. W łożu tem tonęła w powodzi batystów i koronek urodziwa niewiasta. Mogła mieć lat najwyżej trzydzieści. Uśmiechnęła się na mój widok, lecz był to uśmiech raczej smutku.

Zbliżyłem się do chorej i począłem ją rozpytywać o symptomata choroby.

— Czuję się źle, doktorze — rzekła, a głos miała taki sam miły i pieszczotliwy, jaki przed godziną słyszałem w telefonie. — Czuję się bardzo źle. Nie wiem sama, co mi jest. Właściwie, nic mnie nie boli i nie potrafię panu doktorowi określić mego stanu.

Zbadałem niewiastę sumiennie. Płuca, serce, wątroba — wszystko było w zupełnym porządku. Ciało miała jędrne, doskonale rozwinięte. Dostrzegłem tylko w kilku miejscach na ciele jakieś sine pręgi, wyglądało to jednak jakby ślady uderzeń lub odciski palców, zresztą rzeczy czysto zewnętrzne. Przez dyskrecję nie zapytałem jej o powód tych sińców, będąc pewnym w duszy, że są to ślady jakichś miłosnych uścisków.

— Nic pani nie jest — orzekłem wreszcie. — Chyba... nerwy — uśmiechnąłem się.

Posądzałem babę poprostu o histerję. Tymczasem ona zaczęła mi się żalić, że najgorzej czuje się w nocy, że sypiać nie może, że nawiedzają ją jakieś zmory... Mieszka tu sama, tylko ze służącą, gdyż z mężem się rozeszła przed kilkoma laty. Kochał się w niej potem pewien oficer, lecz go odtrąciła. Zastrzelił się. To było rok temu. Od tego czasu czuje się bardzo źle nerwowo. Boi się samotności, lecz boi się również ludzi.

— Czy pan wierzy w duchy, doktorze — zapytała ni stąd ni zowąd.

Pozostawiłem to pytanie bez odpowiedzi, tłomacząc jej natomiast szeroko o konieczności zapanowania nad swemi nerwami. Zapisałem jej sporą dawkę bromu, no i chciałem odejść.

Baba w płacz. Siedziałem blizko przy niej na łóżku, więc rzuciła mi się na szyję i zaczęła cicho chlipiąc, błagać na wszystko, abym nie odchodził, abym został przy niej tej nocy, abym ją ratował i t. d. i t. d.

— On dziś napewno przyjdzie, doktorze — wybuchnęła nagle—a ja nie mogę, już nie mogę, sił nie mam.....

— Co za „on" — zapytałem — kto taki?

Popatrzyła na mnie nieprzytomnemi oczami.

— No on, mój odtrącony kochanek! Dziś właśnie rocznica jego śmierci. Przyjdzie z pewnością, będzie mi robił wyrzuty, a potem będzie się nademną znęcał. Oh, jak on się znęca, szarpie mnie, bije, gryzie.....

Odrzuciła kołdrę, wskazując mi owe sine ślady na ciele.

Nie ulegało wątpliwości, że mam do czynienia z bardzo silnym rozstrojem nerwowym. Postanowiłem tedy uledz prośbom chorej, bo mi się jej poprostu zrobiło żal. Przytem była naprawdę czarująca. Zostałem.

Usiadłem koło niej na łóżku, w nogach. Uspokoiła się odrazu, patrząc na mnie z wdzięcznością. Była widocznie bardzo spragniona snu i tej jakiejś życzliwej duszy przy sobie, gdyż odrazu usnęła. Ja siedziałem czas jakiś pogrążony w zadumie, lecz że również byłem tego dnia bardzo znużony, anim się spostrzegł, jak oparty wygodnie o poduszkę zadrzemałem.

Nie wiem, jak długo ta moja drzemka trwała, gdy obudził mnie przeraźliwy krzyk chorej. Otworzyłem oczy i ujrzałem ją uniesioną na posłaniu, z oczami utkwionemi nieprzytomnie w odległy kąt pokoju. Wyrazu tych oczu nie zapomnę nigdy. Był w nich i strach, i zgroza, i obłęd, i ból, i najwyższe przerażenie.

Spojrzałem w stronę, gdzie miała utkwiony wzrok i przyznam się państwu, włosy mi się zjeżyły na głowie. Tam, w kącie pokoju stał młody oficer. Twarz miał zupełnie białą, przezroczystą. Stał nieruchomo i patrzał na nas oczami z zaświata. W pokoju paliła się przecież nocna lampa, stojąca na stoliku — i aczkolwiek panował półmrok, widać przecież było wszystko dokładnie. Nie namyślając się, sięgnąłem do kieszeni po rewolwer, i zanim zdołałem się opamiętać, wystrzeliłem, mierząc w sam środek postaci. Mara rozwiała się wraz z dymem wystrzelonego ładunku.

— Co pan zrobił — jęknęła głucho niewiasta.

— A nic, chciałem tylko panią przekonać, że nikogo tam niema! — zaśmiałem się jakoś nieszczerze. Bo przecież w gruncie rzeczy sam nie byłem pewien, czy uległem halucynacji, czy też istotnie widziałem postać wojskowego. Nadrabiałem jednak miną i starałem się wszystko zbagatelizować, kładąc na karb rozigranych nerwów.

Udało mi się też wkrótce uspokoić zupełnie niewiastę, tak, że zasnęła ponownie. Ja zaś nie zmrużyłem już oczu do rana. Od czasu do czasu, wzrok mój mimowoli zwracał się w stronę, gdzie stał duch. Nie było tam nic, tylko zdawało mi się, że w tem miejscu, na podłodze, czernieje w mroku jakiś przedmiot. Dopiero w coraz jaśniejszem świetle budzącego się dnia zarysy tego przedmiotu nabierały większej wyrazistości, i wpatrując się weń uparcie, ujrzałem nagle coś, co znowu wstrząsnęło mną całym. Na miejscu, gdzie stała postać oficera — tkwiła para wysokich lakierowanych butów z ostrogami.

Zerwałem się jak szalony i skoczyłem sprawdzić namacalnie, czy znowu nie ulegam halucynacji. Lecz nie! Buty były zupełnie realne. Wziąłem jeden z nich do ręki i usłyszałem, jak zadzwoniła srebrna ostroga.

Pacjentka moja spała tymczasem snem słodkim, krzepiącym i mocnym. Postanowiłem jej nie budzić. Postanowiłem również zabrać ze sobą pozostawione przez ducha buty — aby nie upewniać chorej w przeświadczeniu, że duch odtrąconego kochanka naprawdę ją nawiedzał. Zawinąłem więc buty w gazetę, którą znalazłem na stole w sąsiednim pokoju i cichutko, na palcach wyszedłem z mieszkania.... .

— No i co sądzi pan, panie doktorze, — odezwał się pułkownik — że to naprawdę był duch?

— Nie wiem. To wiem tylko, że buty te do dziś dnia przechowuję u siebie.

— A cóż się stało z piękną panią — zapytała nasza towarzyszka podróży.

— Pacjentkę moją widywałem potem dość często. Od owej chwili przestała ją nawiedzać zmora. Czuła się doskonale, miała dobry sen i jakoś wkrótce wyszła zamąż. Lecz o tych butach nigdy jej nie wspominałem ani słowa.

— Ładną nam doktór bajeczkę opowiedział — ozwał się z przekąsem literat.

IV

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu. Opowiadanie doktora pogrążyło nas w zadumę nad niedocieczonemi zagadkami bytu, których żadna myśl ludzka nigdy nie zdoła prześwietlić. Pociąg pędził coraz szybciej — a za oknami była czarna otchłań nocy, i szaruga, i deszcz, i zła wichura...

Wyrwał nas z tej zadumy dopiero miły głos mego vis à vis, uroczej blondynki. Zaczęła nam ona opowiadać historję, któraby się dała streścić w następujący sposób:

Prześladował ją swoją osobą na ulicy pewien nieznajomy młodzieniec. Chodził za nią, śledził, wystawał przed jej domem, a gdy ją ujrzał wychodzącą, zbliżał się i usiłował nawiązać rozmowę. Ponieważ nie uznaje znajomości zawieranych na ulicy —nie zwracała nań najmniejszej uwagi. On jednak był cierpliwy i nie zrażając się okazywaną mu obojętnością, wciąż stawał na jej drodze.

Któregoś dnia pokazała go zdaleka swej przyjaciółce, opowiadając jej o zaczepkach. Okazało się, że przyjaciółka znała go. Miała z nim nawet coś na pieńku. Był to znany szeroko uwodziciel, Don Juan i flirciarz. Przyjaciółki postanowiły mu spłatać figla, któryby go ośmieszył.

Nazajutrz więc, gdy nieznajomy znów ją zaczepił na ulicy, udała pokonaną i..... zgodziła się na rendez-vous. Był w siódmem niebie. W parę dni potem, o umówionej, dość późnej zresztą godzinie wieczornej spotkali się w kawiarni, skąd go zaprosiła do...... siebie. Na schodach uprzedziła go, że mieszka w odnajętym pokoju, położonym w głębi mieszkania. Prosiła go wobec tego, by się zachowywał najciszej. W przedpokoju nie zapaliła światła i kazała mu zdjąć obuwie, by nie słychać było stąpania. Uczynił to z pośpiechem. Był tak oszołomiony szybkością, z jaką dochodził do celu, że byłby uczynił wszystko, coby mu rozkazała.

Wzięła go wówczas za rękę i wprowadziła w skarpetkach, trzymającego w drugiem ręku swe trzewiki, do jasno oświetlonego pokoju, gdzie siedziało kilkanaście osób jego osobistych znajomych, przeważnie pań, zaproszonych uprzednio przez przyjaciółkę. Ani się opamiętał, jak znalazł się pośrodku pokoju, powitany głośną salwą śmiechu wszystkich swoich dawnych flirtów.... Żal było patrzeć, jak stał tak, czerwony ze wstydu i bezradny, trzymając w ręku swoje eleganckie półbuciki. Te półbuciki, które stały się grobem jego powodzenia u kobiet.

Śmieliśmy się wszyscy z tej historji, chociaż nie obyło się bez cierpkich uwag na temat kobiecej perfidji, okrucieństwa i złośliwości.

Opowiadanie kolejne pułkownika zawiodło nas myślami na Dzikie Pola, gdzieś w okolice Bałty, na szczerą wieś ukraińską, skąd rodem był nasz kawalerzysta. Działo się to w czasach jeszcze przedwojennych, kiedy nasz obecny pułkownik był poprostu hreczkosiejem na swym rodzinnym zagonie. Miał bowiem majątek ziemski, gdzie siał, orał, zbierał i polował. Wieś to była głucha, od stacji kolei o 7 mil a od najbliższego sąsiada o 6 mil odległa. Inne to czasy były, inni ludzie, o duszach szerokich, jak te przestrzenie stepowe, na których żyli. I życie towarzyskie też w inne się układało formy, niż dzisiaj. Jak kto się wybrał w odwiedziny do sąsiada, to go nie wypuszczano wcześniej, jak po trzech dniach, albo i tygodniu.

Otóż siedzi sobie któregoś dnia nasz pułkownik z żoną i córkami przy obiedzie, aż tu słyszy dzwonki. Zima była sroga, mróz siarczysty, sanna dobra. Najwyraźniej ktoś zajeżdża pod ganek. Podchodzi tedy do okna, patrzy, to suną sanie w czwórkę szpaków zaprzężone, ale się przed gankiem nie zatrzymują, tylko objechawszy dookoła wielki gazon, z powrotem ku bramie się kierują, by za chwilę zniknąć zupełnie z oczu. Ledwie mógł dostrzedz, raczej po tych szpakach, że w saniach siedział w baranice otulony sąsiad Zabawski z Hajnówki. Stary to był kawaler, dziwak i mizantrop. Majątek jego odległy był o jakie wiorst 40. Zabawski odwiedzał dom pułkownika tylko raz do roku.

Zachodził w głowę pułkownik, zachodziły w głowę jego żona i córki, co to za nowy kawał wymyślił stary dziwak. Ale gdy nadszedł wieczór, zapomniano o tem jego nagłem pojawieniu się i zniknięciu. Spożyto kolację i już miano się udawać na spoczynek, gdy nagle dały się słyszeć dzwonki przed gankiem. Wychodzi pułkownik na ganek, a tu z sani gramoli się skostniały na kość mimo kożuchów i baranic Zabawski.

— Cóż się to stało, sąsiedzie—pyta pułkownik.

— A no nic, sąsiedzie dobrodzieju, — powiada ten — przepraszam, że o tak późnej porze z wizytą, ale jam już raz tu był dzisiaj w południe. Musiałem tylko skoczyć do domu, bom coś zapomniał u siebie w Hajnówce.

— A cóż to sąsiad takiego ważnego zapomniał, żeby po takim mrozie 120 wiorst jednym dniem gonić!

— A buty, sąsiedzie dobrodzieju. — powiada Zabawski — zapomniałem. Kazałem durniowi lokajowi buty do sań pod baranicę włożyć, bo sam, że to mróz, w walonkach dla ciepła jechałem. Dopiero jakem podjeżdżał pod ganek, sięgam pod baranicę — a tu butów ani śladu. Zapomniał bestja włożyć. Jakże to miałem wobec pań bez butów się ukazać. Kazałem tedy zawrócić i wio do Hajnówki. A że jestem, jak to sąsiad wie, uparty i ponieważ jeszcze w żniwa na kalendarzu wyznaczyłem na dzień dzisiejszy wizytę u sąsiada, kazałem więc konie tylko przeprządz, wziąłem buty — i oto jestem.

V

Musiałem i ja z kolei wyciągnąć z lamusa wspomnień jakąś historyjkę a propos. Zapaliłem więc papierosa i czerpiąc w kłębach snującego się dymu natchnienie, zacząłem swe opowiadanie:

— Przygoda, o której tu zaraz państwo usłyszycie, wydarzyła mi się na Rivierze. Tak, moi państwo, na Rivierze, to znaczy, w okolicznościach sprzyjających dla wszelkiego rodzaju przygód. Swoisty charakter życia w tym wiecznie kwitnącym ogrodzie Europy, wytwarza specjalną atmosferę, w której człowiek poddaje się z taką łatwością wszelkim impulsom płynącym zzewnątrz. Już sama natura wysiliła się tutaj, aby człowieka oderwać od codziennego biegu jego spraw, interesów i zainteresowań, tak jednakowo szarych i nużących na przestrzeni całego kontynentu. Rozumieją państwo, że morze, słońce południa, czarowne noce, przepojone zapachem róż i goździków i ta beztroska bytowania — wszystko to są rzeczy, niesłychanie podniecające wrażliwość i wyobraźnię ludzką.

Pod ich wpływem człowiek staje się bardziej uczuciowym i każda spotkana piękna kobieta wydaje mu się być zesłaną przez dobry los ....przygodą!

(Dok. nast.).